

ISSN 1507-4781 * ROK XXIII * ZIMA (I, II, III) 2020 * nr 83

FORUM 83

MYŚLI WOLNEJ

Krakowski magazyn racjonalistów



STEFAN BERDAK, akryl

W numerze m.in.:

- Tadeusz Żeleński-Boy, *Karnawał*
- Jan Czajkowski, *Katarzy (albigensi)*
- Piotr Szydłowski, *Etyka w kręgu marburskiego neokantyzmu*
- Mieczysław Jakubiec, *Ptaka przemalowywany*
- Marian Toporek, *Teatr polski 1945–1948. Tendencje ideowe i polityczne*



1 **OD REDAKCJI**

TEMATY SPRZED LAT

3 Tadeusz Żeleński-Boy, *Karnawał*

MYŚLAĆ BELFREM

8 Piotr Augustynek, *I co? I nic.*

ETYKA DLA MŁODZIEŻY

10 Piotr Szydłowski, *Etyka w kręgu marburskiego neokantyzmu*

RELIGIOZNAWSTWO

13 Jan Czajkowski, *Katarzy (albigens)*

W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

24 Kazimierz Pasenkiewicz, *1945. Pierwsze dni po wyzwoleniu*

FELIETONY

32 Mieczysław Jakubiec, *Ptāk przemałowywany*

35 Adam Jaśkow, *Klerykalizm i antyklerykalizm*

Z WITRYNY KSIĘGARSKIEJ

40 Dr Marian Toporek, *Teatr polski 1945–1948. Tendencje ideowe i polityczne*

RECENZJE

50 Andrzej Dragan, *Kwantechizm czyli klatka na ludzi*

REFLEKSJE ETYCZNE

52 Józef Kabaj, *Dwa gatunki*

LITERATURA

53 Na kłopoty, *Nobel*

54 **REFLEKSJE I KOMENTARZE**

57 **Z PORTALI INTERNETOWYCH**

SPOJRZENIA

61 Piotr Augustynek, *Światelko do nieba*

RADA PROGRAMOWA:

prof. dr hab.

Krzysztof Woźniakowski
– przewodniczący Rady,

dr Adam Bańdo – sekretarz Rady.

Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Stanisław Ignacy Fiut,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kornaś,
prof. dr hab. Józef Lipiec
dr Paweł Sękowski,
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,
prof. dr hab. Jan Woleński.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 567 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny
im. Lidii i Leona Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
www.novum.krakow.pl

ISSN 1507-4781, Index 325813

OD REDAKCJI

ZIMOWO

I znowu zamyka się symboliczne koło czasu. W kalendarzu zmienia się układ cyfr. W życiorysie przybędzie kolejny rok.

Upływający rok, tak jak wszystkie poprzednie, nie był łatwy. Znowu nas ubył. Znowu było więcej pożegnań. Ludzkość uczyniła kolejne z niebezpiecznych kroków prowadzących do nicości.

Ale przecież nie wszystko jest ponure, nie wszystko każe się bać i zastręcać w geście beznadziei. Jest trochę światła w tym tunelu. Dwie kobiety: Olga Tokarczuk i Greta Thunberg. Dzieli je ilość przeżytych lat. Łączy żarliwość głoszonych poglądów, nieustępliwość, konsekwencja i odporność wobec opinii głupców.

A więc – trwajmy i my, bo warto myśleć niezależnie. Warto cieszyć się każdym przejawem samodzielności, odwagi w obronie własnych przekonań. W poszanowaniu rozumu. W szacunku dla każdego człowieka, choćby myślał odmiennie. Bądźmy razem we wspólnocie ludzi myślących odmiennie – niezależnie.

Tego Wam, Drodzy Czytelnicy na ten nowy 2020 rok

życzy serdecznie

Zespół Redakcyjny





Z wielkim żalem przyjęliśmy informację o śmierci

**Prof. dra hab.
MICHAŁA CHOROŚNICKIEGO**

Naszego współpracownika,
członka Rady Naukowej Forum Myśli Wolnej.

W zmarłym straciliśmy
wybitnego znawcę prawa międzynarodowego,
przenikliwego publicystę i wspaniałego kolegę.

Rodzinie Zmarłego
składamy szczerze wyrazy współczucia.

REDAKCJA

Akurat dobrze się składa – karnawał na horyzoncie. Czas, kiedy walka pomiędzy sacrum a profanum wkracza w decydującą fazę. To właśnie wtedy porzucamy to, co poważne, uświęcone tradycją, a z lubością zanurzamy się w szaleństwo (cokolwiek by to znaczyło), w zapomnienie o przyziemnej rutynie dnia codziennego. Nawet najbardziej sensne miejscowości, nawet najbardziej „akademickie” metropolie – bawią się.

To, co oznacza karnawał dzisiaj, wobec tego, co znaczył w czasach Boy’a – to dwie jakże różne rzeczywistości. Karnawał epoki fin de siècle’u to nie był jedynie czas beztrudnych igrców. To była nader poważna batalia z rozbudowaną strategią, taktyką, propagandą i logistyką. Wystarczy przeczytać niżej zamieszczony fragment pism Pana Tadeusza (Żeleńskiego), a zrozumiemy wiele.

Dzisiaj wobec wszechobecności klubów, dyskotek, różnej maści imprez i eventów wydawać by się mogło, że karnawał trwa cały rok. Nic nie stoi na przeszkodzie, by się bawić.

Cenionego i rozchwytywanego wodzireja zastąpił didżej, skromnego pianistę i skrzypka przygrywających w ciasnym salonie do tańca – wyrafinowane urządzenia audio.

Król karnawału z przełomu XIX i XX wieku dawno już zapleśniał w zakamarkach historii. Jego miejsce zajął celebryta, znany z tego, że jest znany.

Umiejętność tańca to także zmurzała przeszłość. To po prostu nie jest już potrzebne.

Zdolność prowadzenia konwersacji towarzyskiej? Bez przesady. Obowiązuje hasło: „Niczego nie czytam, niczego nie wiem i jestem z tego dumny”.

A więc – rzeczywistość skrzeczy.

Żeby nieco poprawić sobie nastrój – sięgnijmy do tekstu Boy’a.

Wybór, opracowanie i wstęp:
Piotr Augustynek

TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

KARNAWAŁ

Na każdym kroku oblega nas porównywanie nowych form życia z dawnymi; zestawienie to wydaje mi się szczególnie pouczające nawet w błahostkach. Ot, na przykład, zdarza mi się parę razy do roku zajrzeć na chwilę na dansing i przyglądać się z przyjemnością parom falującym rytmicznie na niedużym kręgu posadзки. Mówi się wiele o „szale tańca” jako o symptomie dzisiejszym, powojennym. Niezupełnie

ściśle. Bo szal tańca istniał i dawniej, i z pewnością większy niż dzisiaj; tyle tylko, że był umiejscowiony co do czasu. Tańczono na przestrzeni sześciu czy ośmiu tygodni karnawału. Ale za to wszyscy i bez mała co dzień. Poszukiwany tancerz – lub w ogóle człowiek mający znajomości – hałasował noc w noc do siódmej lub ósmej rano. I nie tak jak dziś, gdy tańczy się marzące tanga, spokojne bostony. Wówczas co za



tańce! Pot lał się z czoła, kołnierzyk skręcał się na szyi w mokry sznurek; po zmianie koszuli (bo wytrawni tancerze brali ze sobą zapasowe koszule) można było wyżyć z niej kubel wody. Potem karnawał się kończył; jeszcze ostatni biały mazur, gasła cała feeria i zaczynało się beztaneczne życie trwające resztę roku.

Instytucja karnawału była dość ciekawym przykładem, do jakiego stopnia kultura mieszczańska nie umiała wytworzyć własnej formy; jak bardzo była w tym pod uciskiem tzw. arystokracji i ziemiaństwa, z którego w znacznej części „inteligencja” w Polsce zdegrengolowała. W wielkim świecie karnawał był to generalny zjazd wszystkich dzielnic, rodzaj targów małżeńskich; był zresztą jedną z form świętowania, trwającego cały rok. W sferze ziemiańskiej, gdy prace rolne były zakończone, gdy w kabzie było trochę grosza, a w piwnicy wina, z dawien dawna odwiedzano się kuligami, zjeżdżano do miast i miasteczek, również pokazać sobie wzajem synów i córki, aby swatać i krzyżować swoje młode. W mieście, gdzie ludzie

mogą się widywać ciągle, takie kontakty traciły poniekąd swój społeczny sens; mimo to instytucja utrzymała się i w mieście. Wiem, oczywiście, że można ją wywieść od pogańskich orgiastycznych tradycji; ale nie mam zamiaru sięgać tak daleko; pragnę jedynie wskazać tutaj parę jej dość paradoksalnych rezultatów.

Przede wszystkim karnawał magnacki czy ziemiański kojarzył się z pojęciem wywczasu. W mieście natomiast, w sferze ludzi pracujących, przypadał on w pełnym sezonie pracy. Po przetańczonej nocy urzędnik szedł do swojej budy, młody lekarz do kliniki, student na wykłady. Biura, szpitale funkcjonowały swoim trybem. Jak to połączyć z conocnym tańczeniem do upadłego? Toteż wzięty tancerz chodził przez te dwa miesiące w dzień jak błędny, w nocy wyciskał ostatek sił czarną kawą, winem, koniakiem. Pod koniec karnawału bywał rozпиты na dobre. Wątlejszy dostawał krwotoku płuc. Iluż młodych ludzi wykołował karnawał, te dwa miesiące nierealnego życia, przewracającego wszystkie wartości do góry nogami!

Niedorzeczność tej formy zabawy na gruncie burżuazyjnym objawiała się i w czym innym. Tradycyjne tańce, urodzone w pałacach, na wielkich salach balowych, przechodziły do coraz mniejszych mieszkań. Dziś da się ślicznie tańczyć bluesa na paru metrach kwadratowych posadzki. Ale jak w niedużym pokoju, szumnie nazwanym „salonem”, wyglądały kadryle, kotyliony – mazur zwłaszcza – bez których szanująca się zabawa nie mogła się obyć? Stąd owe figury mazurowe, przez wszystkie ubikacje łącznie z kuchnią, prowadzone przez zziąjanych Fikalskich, ale jakże mało mające wspólnego z tańcem!

Ale największe barbarzyństwo ujawniło się w p o w s z e c h n y m o b o w i ą z k u t a n c a. Dziś tańczy, kto chce, kto ma warunki i kwalifikacje po temu; nawet w dansingu jedni tańczą, drudzy sobie rozmawiają swobodnie, inni ssą w barze cocktail prosto jak od krowy. Dawniej, ponieważ całe życie towarzyskie skupiało się na owym przez cały rok wyczekiwanim karnawale, gromadził on wszystkich. I każdy,

czy prosty, czy krzywy, czy miał słuch, czy nie, czy umiał, czy nie umiał – a taniec jako umiejętność był w klasie średniej, u mężczyzn przynajmniej, w wielkim zaniedbaniu – musiał tańczyć. Inaczej ścierał na siebie opinię człowieka bez wychowania, pasożyta, który przychodzi wyjadać kolację. Zawsze były jakieś panny, które „siedziały”. Jakaś brzydka czyjaś kuzynka wołająca o zmiłowanie. Niech będzie tancerz, jaki chce, byle był. Jeszcze tańce wirowe mógł nietańczący gość sabotować, ale kiedy przyszły tańce angażowane, które były głównym wypełnieniem wieczoru, obchodzono sale i wyłaniano wszystkich mężczyzn z d o l n y c h d o s ł u ż b y – cenzus równie rozciągliwy jak w czasie wojny. Zawsze zresztą – o ile przedstawiał inne szanse życiowe – kawaler mógł być przez jakie hoże dziewczę wybrany, a wówczas odmowa równała się najcięższej niegrzeczności.

Cóż za widok! Pokazano nam raz w kabarecie takiego autentycznego kadrylo-mazura z owych czasów, nic nie





przesadzając; wystarczyło, aby pęknąć ze śmiechu. Iluż godnych, przyzwoitych i inteligentnych ludzi dyskredytowało się podskakując jak wróbel na nitce, przytupując nie w takt, komicznie, przeraźliwie! I nikt tego nie uniknął; bo nawet kadryl, który był tańcem konwersacyjnym, „chodzonym” kończył się najzdradliwszą „galopką z figurami”. Była to niby złośliwa pułapka, bo właśnie kadryl to był taniec, do którego poszukiwani byli panowie poważni, epuzerzy. Rozmowa rozpoczynała się od byle czego, a mogła się skończyć oświadczeniami; i w chwilę potem ów odpowiedzialny konkurent zmienił się w lewdwodrypę od siedmiu boleści, depcącego po nogach w galopadzie.

Wszystko to wydaje się błahe, ale miało swoje bardzo poważne znaczenie. Bo karnawał, przy braku innych terenów spotkania się płci odmiennych, zachował i w miejskiej sferze charakter targów małżeńskich; zawsze rezultatem jego była pewna ilość oświadczeń i zaręczyn.

Ale dobór odbywał się w tej sferze na swoistych zasadach. Kandydata na męża kwalifikowało jego stanowisko, zdolność utrzymania rodziny. Tym samym dobrzy fachowcy, mole książkowe, pilni pracownicy, poważni panowie mieli for. Stąd zabawne poplątanie. Bo niewątpliwie taniec sam w sobie ma charakter zalotów, „zalotów przedpłcennych” – jak mówi nieoszacowany Kurkiewicz – jest jednym z elementów doboru płciowego. Coś niby turniej, w którym mężczyzna ma się wykazać zręcznością, dziarskością, wdziękiem. Ale tutaj z tą paradoksalną poprawką, że ci, którzy się najpierw „wykazali” w tańcu, to były przeważnie zawodowe nieroby, karnawałowe łaziki, w najlepszym razie zaś ludzie młodzi, bez stanowiska, nie nadający się (na razie przynajmniej) do małżeństwa. W tych warunkach trudno o większy absurd niż łącznie przeznaczeń małżeńskich turniejem tanecznym. Wprawiano młodą dziewczynę w trans szału po to, aby jej kazać

wybierać rozsądkiem. Wnoszono w jej duszę nieuchronny zamęt: z kim innym idealnie się jej tańczyło, w innego ramionach drżała rozkosznie – a innego za podszepem rozsądnej matki brała na oko jako kandydata na męża.

Ale co więcej, tego przyszłego męża stawiano w możliwie najgorsze warunki. Ten sam kandydat, nieraz tęgi i wartościowy człowiek, w którym panna mogłaby się szczerze zakochać (jak dziś na przykład) jako jego uczennica, podwładna czy koleżanka w biurze – na jakimkolwiek terenie zresztą, z wyjątkiem tańca – musi jakby umyślnie, pokazać się ze swojej najsłabszej strony w tym, w czym bił go na głowę lada dureń. Na tym gruncie pocieszne były owe zaloty, cierpiane z roztargnieniem, niezręczne, przerywane co chwila przez jakiegoś fircyka, który porywał pretendenta-wi pannę wpół słowa sprzed nosa i odnosił mu ją pobladłą z tanecznej rozkoszy. A cóż dopiero, kiedy ten pan „na stanowisku”, prokurator, lekarz czy profesor uniwersytetu, podrygiwał w tańcu bez wdzięku, kiedy młoda dziewczyna widziała biegnące za nim drwiące spojrzenia i rumieniła się za niego! Słowem inteligencki karnawał był instytucją kojarzenia par przy równoczesnym dyskredytowaniu przyszłych mężów w oczach przyszłych żon i niezdrowym rozszczepieniu serc panieńskich w samym zaraniu decyzji. Ileż „kompleksów” musiało się wytwarzać, które najpoważniej zaciążyły – wręcz fizycznie! – na losach takich małżeństw.

Jeszcze nedorzeczniejszy i okrutniejszy był karnawał w stosunku do wielu pannen, które zmuszał do wystawiania się na pokaz, do podejmowania kobiecej walki o byt w warunkach również nienajkorzystniejszych. Znów ta sama historia: dzielna, inteligentna dziewczyna, której zalety można by oceniać na właściwym jej terenie – tam, na sali balowej, beznadziejna weteranka kilku karnawałów, w zbyt opatrzonej

sukience, wystawiona na banalne rywalizacje, wyczekująca pod okiem mamy, aż się ktoś do niej zbliży, sterczała nieraz do rana z powściągniętymi łzami w oczach lub też uciekała w pełni balu pod pozorem bólu głowy, aby w domu gorzko płakać do rana. Kilkadziesiąt bukietów, które gromadziła „królowa balu” – najczęściej koronna gęś – to było tyleż skalpów zdartych z głów skromniejszych rywalek.

Stanowczo, mimo wszystko, co można by zarzucić naszej epoce, ludzie żyją dziś jakoś dorzeczniej, swobodniej i estetyczniej. Nawet taniec odzyskał swoją godność i sens, gdy przedtem był rajfurem małżeńskim, i to rajfurem niezręcznym i nielojalnym. I kiedy mi się zdarzy rozejrzeć po dzisiejszym boisku tanecznym, gdzie dobrane pary kręcą się bezinteresownie w spokojnej harmonii, a potem przypomnę sobie dawną salę balową o siódmej rano – straszliwy rząd matek dogorywających pod ścianą, ale jeszcze ścigających nienawistnym wzrokiem krzywdzicielki swoich niedotańczonych córek, i schrypłego wodzireja z błędnym wzrokiem, obwieszzonego papierowymi orderami, ryczącego swoje: „rrrrr! Z życiem, panowie! dziś, dziś, dziś”, i owe pospolite ruszenie pociesznych mazurzystów, którzy za godzinę, ledwie zdoławszy się trochę obmyć, pójdą wpół przez sen, z ciężką głową sądzić, leczyć, operować, wyklądać, egzaminować – muszę stwierdzić, że to był dopiero prawdziwy „szał tańca”. Nawet nie szal, ale w ś c i e k l i z n a t a ń c a, przeciw której dzisiejszy dancing jest błogosławioną szczepionką. □

1933

Ze zbioru opracowanego przez Henryka Markiewicza „Boy o Krakowie”, Wydawnictwo Literackie, Wyd. II, Kraków 1973

PIOTR AUGUSTYNEK

I CO? I NIC.

Kto chciałby zobaczyć upokorzoną grupę społeczną, niech przyjrzy się nauczycielom. Rządzące ugrupowania polityczne (bo są ich aż trzy, o czym zda się, nie pamiętamy) w sposób bezwzględny i cyniczny „rozegrały” konflikt z pracownikami edukacji. Najpierw wykorzystaty animozje i partykularne ambicje konfliktujące Związek Nauczycielstwa Polskiego i „Solidarność” nauczycielską. Udało się.

winien? Niestety, po części sami nauczyciele. Dali się zmanipulować, podzielić. Umocniono tym samym linię podziału – bezsensowną, bo istniejącą wewnątrz jednej grupy zawodowej.

Władza tak właśnie zwykła wygaszać protesty społeczne, wykorzystując różnice światopoglądowe, polityczne i każde inne wewnątrz grupy „kolegów po fachu”. Słyszeliśmy zapowiedzi zwartości, zapowie-



Później metodą pozorowanych negocjacji, półśrodków i niedomówień rządzący sprawili, że z ogólnopolskiego, niebezpiecznego dla władzy protestu nic nie wyszło. Udało się.

Pozostał niesmak, poczucie porażki i zniechęcenie. I co? I nic. Kto temu

dzi, że nie damy się podzielić, że w końcu chodzi nam o to samo... I co? I nic.

O przywódcach nauczycielskiego protestu rządowe media mówiły jak o grupie ludzi z chorą ambicją, owładniętych żądzą kariery politycznej. Szczególnie mocno oskarżano kierownictwo ZNP. Umocniono

tym razem przeświadczenie, że kierownictwo Związku zarabia i tak dużo, a strajk potrzebny jest tylko po to, by zaistnieć, a co za tym idzie, wykorzystać „szeregowych nauczycieli” do swych niecznych interesów. Udało się. I co? I nic.

Jest jeszcze jeden aspekt nieudanego nauczycielskiego protestu. W całą sprawę dali się wmanipulować rodzice (na szczęście nie wszyscy). To jest zjawisko, które już ma dalekosiężne, trudne do zniwelowania skutki społeczne. Otóż władza wykorzystała fakt, że od lat wśród rodziców obecne są (wcale nieicydentalne) opinie, że nauczyciele to świetnie zarabiające darmozjady, które nie dość, że mają pensum osiemnaście godzin tygodniowo (to praca bezpośrednia z uczniem – lekcje), to jeszcze ferie, wakacje, a w dodatku „są roszczeniowi”. Podobnych argumentów szkoda nawet odpierać. Tyle razy nauczyciele tłumaczyli się, że pracują ponad czterdzieści godzin tygodniowo, że muszą się stale dokształcać (za własne pieniądze), że stres (odpowiedzialność zawodowa i karna w razie wypadku, nieuzasadnione pretensje rodziców z wyzwiskami włącznie), że wypalenie zawodowe (następujące szybciej niż w innych zawodach). I co? I nic.

I jakby nie było dość, na horyzoncie zamajaczyło kolejne zjawisko z kategorii szkodliwych społecznie i obrzydliwych moralnie. Otóż podano do wiadomości, że Pani Kurator Oświaty w Małopolsce rozesała drogą elektroniczną po szkołach ważną ankietę. Ankietę, która w swym charakterze nawiązuje wprost do stalinowskiego donosicielstwa Pawki Morozowa i do wzorów inkwizycji – równie świetlanych. W ankiecie znalazły się bowiem pytania o charakterze jawnie naruszającym godność nauczyciela. Ucznia też. Uczniowie mieli bowiem DONOSIĆ o poglądach nauczycieli, ich sposobie prowadzenia lekcji, promowanych wartościach, światopoglądzie, etc. NIE UDAŁO SIĘ!

Uczniowie wykorzystali swe informatyczne umiejętności i ośmieszili cały zamysł Pani Kurator, a na dodatek użyli odpowiednio dobranych fragmentów Konstytucji jako argumentów. Sprawa (na razie) upadła, ale nie wątpię, że nasze władze z raz powziętego zamysłu tak ochoczo nie zrezygnują. Pani Kurator i wszyscy, którzy takie pomysły popierają, ośmieszili się. Naruszyli zasady etyki zawodowej, o zwykłej przyzwoitości nie mówiąc. I co? I nic.

W tle omawianych faktów słyhać wyraźnie rechot historii. Powód? Otóż ujrzały światło dzienne wyniki badań PISA. Badania te sprawdzają jakość kształcenia młodzieży w poszczególnych krajach. Pamiętamy opinie o nauczycielach, pracowicie lansowane przez rządzących. I co? Okazała się, że polscy piętnastolatkowie są w pierwszej trójce najwyższej notowanych. Więc jak to jest? Uczniowie rozleniwionych, roszczeniowych nauczycieli znaleźli się tak wysoko? Szok? A tym większy, że badania dotyczyły gimnazjalistów, a u nas nasi przenikliwi władcy właśnie gimnazja zlikwidowali. Zlikwidowali, a w roku 2000 gorąco promowali ich powołanie w ramach reformy ministra Handkego.

Gdzie tu logika?

Próbując dociec racjonalnych przyczyn demontażu systemu edukacji i jawnej wrogości władzy wobec nauczycieli, doszedłem do wniosku, że nie da się tego zjawiska wytłumaczyć. Z pomocą przyszły mi informacje medialne, że może przyczyn całego zamieszania należy szukać w... zyciorysie Pewnego Szeregowego Pośła, który musiał repetować jedną z klas i o mało co nie oblał matury. Podobno pomogły gwałtowne przenosiny do innego, mniej wymagającego liceum.

Prawda-li to?

Ponarzekał mi sobie. I co? I nic. □

PIOTR SZYDŁOWSKI

ETYKA W KRĘGU MARBURSKIEGO NEOKANTYZMU

Powstały w drugiej połowie XIX wieku neokantyzm był odmianą filozofii Immanuela Kanta, królewieckiego filozofa zmarłego w roku 1804. Etymologia nazwy wyjaśnia, że „neokantyzm” jest odnowioną filozofią Kanta. Odnowioną, czyli na nowo przemyślaną i zmodyfikowaną w stosunku do Kantowskiego oryginału. Na czym ta odnowa polegała?

Najogólniej mówiąc, marburscy inicjatorzy neokantyzmu: Hermann COHEN (1842-1918) i Paul NATORP (1854-1924), profesorowie filozofii na uniwersytecie w Marburgu (Niemcy) odeszli od głównych założeń filozofii Kanta interesując się nią wybiórczo i tak ją przekształcając, że niestety nie znalazła ona szerszego i trwałego oddźwięku w środowiskach uniwersyteckich (wyjątek stanowiło środowisko badeńskie) i zanikła po pierwszej wojnie światowej, po śmierci swoich inicjatorów. Wtedy, jak pisze Władysław Tatarkiewicz w 3. tomie *Historii filozofii* (1970, s. 247), *nagle szkoła minęła bez śladu*. Dlatego świadomie rezygnuję z obszernej i szczegółowej prezentacji owego neokantyzmu, wyodrębniając z niego tylko refleksję etyczną, która stanowi centrum zainteresowania całego cyklu naszych artykułów.

Kierując swoje nowe rozumienie filozofii Kanta przeciwko empiryzmowi, rozwijającemu się w owych czasach materializmowi przyrodniczemu oraz rewolucyjnemu marksizmowi, Marburczycy zainteresowali się również filozofią kultury i nauki, za najistotniejsze uważając wartości etyczne i estetyczne, w a r t o ś c i b o w i e m d u c h o w e, a nie materialne,

uważali za ekspresję ducha ludzkiego. Głosili, że k u l t u r a definiuje naturę człowieka, przez nią bowiem człowiek poznaje samego siebie; a żyjąc w świecie symboli i tworząc te symbole tworzy jednocześnie język, sztukę i religię.

REFLEKSJA ETYCZNA HERMANNA COHENA, zawarta w jego rozprawie *Etyka czystego chcenia (Ethik des reinen Willens, 1904)*, powiązana jest z refleksją o prawie, rozumianym jako „matematyka nauk o duchu”; etykę bowiem pojmuje Cohen jako „logikę nauk o duchu”. Wyjaśnić tu należy specyficzne rozumienie logiki przez Marburczyków. Otóż owa marburska „logika” niewiele, prócz samej nazwy, miała wspólnego z tradycyjnym i dwudziestowiecznym rozumieniem logiki. Nazy-



Herman Cohen

wając etykę „logiką nauk o duchu”, Cohen wyjaśniał, że jest ona dziedziną *logosu*, czyli rozumu; tak samo jak dziedziną rozumu jest matematyka, prawo i cała teoria poznania. Dlatego Cohen mocno podkreślał związki etyki z prawem. Z pojęcia osobowości moralnej Cohen wyprowadził pojęcie osobowości prawnej, od której przechodził do pojęcia ustroju prawnego wielu osób, czyli do państwa opartego na prawie. Nawiązywał do starożytnej platońskiej koncepcji państwa, którą łączył z chrześcijańsko-protestancką ideą jednostki wolnej; i wyjaśniał, że społeczny

ustrój socjalistyczny winien być oparty na prawie, a konflikty społeczne rozwiązywane nie w drodze rewolucji, lecz przy pomocy prawa inspirowanego chrześcijańskimi zasadami etycznymi. Cohen, krytykując marksistowskie koncepcje rewolucyjnych rozwiązań konfliktów społecznych, opowiadał się za etycznym ideałem socjalizmu, wiążąc z nim nadzieję na reformę prawa własności oraz na pełną polityczną integrację robotników z państwem. Cele polityki współczesnej i jej moralny program dostrzegał również Cohen w sformułowanym przez Kanta imperatywie nakazującym traktować człowieka jako cel sam w sobie. W tym kontekście idea Boga – zdaniem Cohena – nie jest potrzebna do umocowania etyki, może być jedynie jej zadowalającym zwieńczeniem.

W refleksji etycznej Cohena p o d s t a w o w y m pojęciem etyki stosowanej j e s t c n o t a, a porządek cnót jest następujący: prawdziwość, umiarkowanie, męstwo, wierność, sprawiedliwość i człowieczeństwo. Właśnie CZŁOWIECZENSTWO (Humanität) uznał Cohen za instancję kontrolną wszelkich cnót. PRAWDZIWOŚĆ uważał Cohen za cnotę nauki, filozofii i polityki. UMIARKOWANIE za cnotę krytyki, cierpliwości i pokoju. MĘSTWO za cnotę wytrwałości w pracy kulturowej, zwłaszcza politycznej. WIERNOŚĆ za cnotę nieustannego własnego rozwoju, wobec innych realizującą się jako przyjaźń, poświęcenie się rodzinie, narodowi i państwu. SPRAWIEDLIWOŚĆ uważał za specyficzną cnotę prawa i państwa.

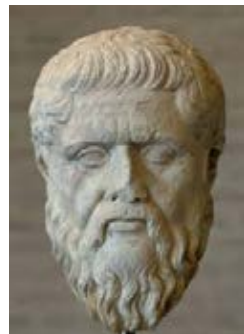


Paul Natorp

R E F L E K S J A
ETYCZNA PAULA
NATORPA z kolei za-
warta jest w jego mo-
nografii pt. *Pedagogi-
ka społeczna* (1898).
Jej dwie pierwsze
części stanowią sys-
tem etyki, krytyko-
wany wprawdzie za

pewne jego usterki, w sumie jednak pozytywnie przyjęty przez ówczesnych wychowawców.

Książka ta zawiera filozoficzną refleksję Natorpa na temat imperatywu katerycznego Immanuela Kanta i jego relacji do nauki Platona (z IV wieku p.n.e.) o cnotach. Wpływ Platona na Natorpa przejawia się w tym, że Natorp swoją teorię osobowości jakby „nałożył” na Platonską teorię społeczeństwa. W duchu Platonskiej analogii między „małym” a „dużym człowiekiem” (państwem) dostrzegł Natorp pełen paralelizm między funkcjami życia indywidualnego i społecznego. Dlatego etyka Natorpa jest jednocześnie filozofią społeczną, w której dotyka on takich kwestii, jak problem praw rozwoju społecznego, problem wzajemnych stosunków między techniką, gospodarką i prawem, a kończy swój wykład o ideale społecznym, który to wykład nazywa teorią cnót społecznych.



Platon

Społeczny ideał wychowawczy Natorpa przeciwny jest ówczesnym ideałom głoszonym przez zwolenników nurtu socjalistycznego i rewolucyjnych ideałów marksistowskich. Natorp dokonuje pryncypialnej krytyki materializmu historycznego broniąc jednocześnie państwa prawnego; uważa bowiem, że tylko na gruncie prawa można opanować i rozwiązywać problemy społeczne w gospodarce, rezygnując z rewolucji marksistowskiej. Dlatego postuluje rozwój osobowości, jej charakteru i jej uspołecznienia, jest ona bowiem niezbywalnym członem społeczeństwa, którego problemy społeczne rozwiązując zapobiega postulowanej przez marksizm rewolucji.

W etyce obowiązuje prawo jedności jako podstawowe prawo świadomości. Nawiązując do Platona, Natorp wyprowadzał z trzech zasadniczych czynników aktywności, mianowicie z popędu, woli i rozumu system cnót indywidualnych: PRAWDE jako cnotę rozumu, MĘSTWO jako cnotę woli, UMIARKOWANIE jako cnotę życia popędowego, SPRAWIEDLIWOŚĆ jako jedność wszystkich pozostałych cnót oraz indywidualną podstawę cnoty społecznej. W zakresie filozofii społecznej głosił, że podstawowe prawo rozwoju społecznego nie może być naturalnym prawem przyrody, lecz winno być prawem pozytywnym stanowionym, wskazującym moralny cel ostateczny rozwoju społecznego czyli wszechstronny i harmonijny rozwój wszystkich potencjalnych dyspozycji tkwiących w społeczeństwie.

Dlatego ówczesni krytycy poglądów Natorpa uznawali w sumie wartość jego *Pedagogiki społecznej*; położyła bowiem kres panowaniu w tamtych czasach herbartyzmu z jego teorią nauczania wychowującego, ograniczyła roszczenia tzw. „pedagogiki eksperymentalnej”, ujawniła więc problemów pedagogicznych z problemami politycznymi i wytyczyła drogę rozwoju dla ówczesnych kierunków pedagogicznych.

Kończąc prezentację ich poglądów etycznych należy odpowiedzieć, że Marburczycy jako twórczy interpretatorzy filozofii Kanta opowiadali się za filozofią naukową, a nie światopoglądową. Ich „logika poznania” była obroną rozumu przed nurtami irracjonalnymi, takimi np. jak „filozofia życia”. Bronili filozofii, która miała dostarczyć apriorycznego ugruntowania nauk przyrodniczych. W refleksji społeczno-politycznej Marburczycy opowiadali się za reformami społecznymi postulowanymi przez socjalizm, nie akceptowali jednak doktryny rewolucyjnego marksizmu ani też politycznego konserwatyzmu swego wieku.



Immanuel Kant

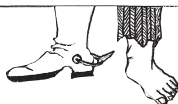
Korzystałem m. in. z: A. J. Noras, *Kant a neokantyzm badeński i marburski*, wyd. UŚ, Katowice 2005. W. Hanuszkiewicz, *Filozofia Hermanna Cohena w perspektywie sporu o jedność metody transcendentnej*, wyd. IFiS PAN, Warszawa 2011. H. Cohen, *Kantowska teoria doświadczenia*, przeł i oprac. A. J. Noras, Kęty 2012. *Neokantyzm badeński i marburski*. Antologia tekstów, pod red. A.J. Norasa i T. Kubalicy, wyd. UŚ, Katowice 2011. □



KREACJA I PROKREACJA

Orson Welles taką oto uczynił uwagę na temat dziwnych obyczajów ludzi:

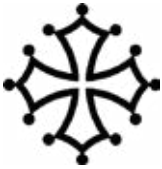
- Jest to jedyne zwierzę, które rezygnuje z części swojego snu, by się rozmnażać.



JAN CZAJKOWSKI

Katarzy (albigensi)

Kataryzm był zjawiskiem religijno-społecznym, które mieściło się w ogólnym ruchu odnowy ewangelicznej, jaki ogarnął całe chrześcijaństwo w XII i XIII wieku. Katarzy, zwłaszcza ich warstwa zwana „Doskonałymi”, uważali się za spadkobierców apostołów. Na tle ogólnego zepsucia moralnego chcieli oni być autentycznymi chrześcijanami. Byli przekonani, że jedynie ich wiara jest prawdziwa, natomiast wiarę rzymskokatolicką uważali za zwykłe diabelskie szalbierstwo. Nic dziwnego, że hierarchia kościelna nie widziała w nich reformatorów religijnych, widziała natomiast prawdziwych heretyków kontynuujących poglądy manichejskie, zagrażających organizacji kościelnej i porządkowi feudalnemu.



Nazwa „katarzy” pochodzi z greckiego wyrazu „katharoi”, tzn. czysti. Zwolennicy tego ruchu uważali się bowiem za ludzi moralnie czystych i reprezentujących czystą doktrynę chrześcijańską. W różnych okolicach byli jednak rozmaicie nazywani. Z uwagi na bułgarskie pochodzenie, przybywających stamtąd zwano w okolicach Cambrai i Douai bułgarami lub bugarami.

W Prowansji nazywano katarów publikanami lub poplikanami, w wicehrabstwie Albi i Carcassonne albigensami (od miasta Albi), w północnych Włoszech – gaccaranami, w okolicach Mediolanu – patarenami, we Francji – tessarantami, w Holandii – piphilerami albo poebelami. Nazywano ich też euchitami, paulicjanami, bagnole-sami, ortliebarami, lucyferianami, runkelijczykami, czy wreszcie speronistami oraz bogomiłami.



1. Doktryna katarów

Podobnie jak wcześniej Mani oraz manichejzycy, tak i katarzy przyjmowali istnienie w świecie dwóch antagonistycznych sił, realnych i równie wiecznych – dobra i zła. Tym dwu siłom odpowiadają dwa różne dzieła stworzenia. Świat widzialny materialny nie został stworzony przez Dobrego Boga – „Boga Nowego Testamentu”, lecz przez demiurga, Złego Ducha, Szatana (czyli upadłego anioła) – „Boga Starego Zakonu”. Dlatego właśnie materia (a z nią i ciało ludzkie przecież materialne) jest zła i jest źródłem wszelkiego innego zła.

Mamy więc do czynienia z próbą zrozumienia i wyjaśnienia zła istniejącego w świecie, z problemem, którym zajmowało się wiele subtelnych i tęgich umysłów, również w kręgu katolickiej teologii ortodoksyjnej. Okazuje się, że katolicka interpretacja istniejącego zła nie wszystkim odpowiadała. A ponieważ w jej świetle trudno było pogodzić koncepcję dobrego i wszystkowiedzącego Boga z istnieniem zła i nieszczęścia, katarzy dopuścili, posługując się poglądami Maniego, istnienie Istoty Złej, przeciwnej Dobremu Bogu, będącej sprawcą wszelkiego zła. Ta Zła Siła, zwana Bogiem Upadłym bądź Szatanem, pociągnęła za sobą część innych istot niebieskich i uwięziła je w złu, jakim jest materia. Aby te istoty przykuć do złego, Szatan-Jehowa wymyślił życie zmysłowe, wiążące na wieki istoty niebieskie.

Aby uwolnić istoty niebieskie uwięzione w materii, Bóg posłał na ziemię swego syna Jezusa Chrystusa, który nie mogąc splamić się przez połączenie z materią pochodzącą od Ducha Złego, przyszedł na ziemię w ciele niebiańskim, a przeszedłszy przez ucho Anioła-Marii, stanął przed ludźmi w pozornym ciele. Pozornie również cierpiał i pozornie umarł. Posłannictwo swe wypełnił, przypominając ludziom ich boski początek i ucząc odrywania ducha od materii.

Niektóre odłamy katarów nie dopuszczały nawet, aby Chrystus istniał kiedykolwiek na ziemi. Odłamy te uważały, że tylko duchowy Chrystus przebywał jakiś czas duchowo w ciele świętego Pawła i w ten sposób wykonał swe zadanie.

Celem dziejów, wyznaczonym przez dobrego Boga, jest wyzwolenie się wszystkich duchów z więzów materii i powrót do swych ciał niebiańskich, zostawionych w niebie. Aby to osiągnąć, należy gardzić materią, porzucić dobra ziemskie, nie spożywać potraw sporządzonych z materii ożywionej (nie jeść mięsa ani produktów zwierzęcych), powstrzymywać się od więzów małżeńskich prowadzących do prokreacji, a tym samym przyczyniających się do pomnażania niewoli duchów.

Koncepcja człowieka nie była spójna z całokształtem ich poglądów. Osoba ludzka składa się z trzech elementów: duszy, ciała i ducha. Między tymi elementami nie ma jedności. Ciało jest dla człowieka czymś obcym i bezwartościowym, jest bowiem dziełem szatana. Człowiek tkwi w ciele podobnie jak woda znajduje się w naczyniu. Czym innym jest woda i czym innym naczynie – podobnie czym innym człowiek (dusza), a czym innym ciało ludzkie. Ten skrajny dualizm duszy i ciała to reminiscencja poglądów Platona (427-347 p.n.e.) i Aureliusza Augustyna (354-430 n.e.), które w nowożytnej filozofii będzie kontynuował Kartezjusz (1596-1650).

A oto inne porównanie obrazujące doktrynalne podstawy etyki katarów. Dusza jest uwięziona w ciele jak ziarno orzecha w swojej skorupie, a zatem grzechy popełnione przez ciało nie dotyczą duszy. Brak tu jednak konsekwencji, gdyż katarzy będą odpuszczają grzechy przed śmiercią człowieka, aby mógł być zbawiony. Takie niekonsekwencje zdarzają się jednak i w innych doktrynach religijnych.

Ponad tym mechanicznym związkiem duszy z ciałem istnieje i szybuje duch, nieznan i nieskazitelny. Stale przebywa on

przed obliczem Boga jako istota wieczna i słabo związana z duszą. Do tego stopnia słabo związana, że gdyby nawet dusza upadła całkowicie, on – duch – pozostałby nienaruszony. Tylko duch zapewnia człowiekowi zbawienie i dusza winna dążyć do zjednoczenia się z nim. Owego ducha pojmowano czasem nieosobowo, jako istotę wspólną wszystkim ludziom. Rozum uznawano za właściwość ducha, nie duszy. Dusza jest jakby zawieszona między dwiema otchłaniami – duchem boskim i szatańską nicością, zredukowana do wrażliwości i uczuciowości, wynikającej z wszelkich kaprysów ciała.

W dodatku katarzy, podobnie jak hinduiści i buddyści na Środkowym i Dalekim Wschodzie, wierzyli w pośmiertną wędrówkę dusz. Teorię o wędrówce dusz obrazuje rozpowszechniona wtedy opowieść o „Zagubionej podkowie”. Oto pewien Doskonały, będący w poprzednim wcieleniu koniem, któregoś dnia zgubił podkowę w skalistym miejscu. Kiedy urodził się człowiekiem i przechodził tamtędy ze swoim towarzyszem, powiedział: „Tu właśnie zgubiłem podkowę, kiedy byłem koniem”. Obaj zaczęli szukać i ją znaleźli.

Na temat wędrówki dusz opowiadano również inne fantastyczne historie. Jedną z nich była opowieść o dwóch wędrowcach. Jeden z nich w czasie podróży zasnął i wtedy jego towarzysz ujrzał wychodzącą z ust śpiącego jaszczurkę, która przepłynęła na gałązce przez strumyk, weszła do leżącej tam czaszki osła i wróciła do ust wędrowca. Ten, obudziwszy się, usłyszał od swego towarzysza: „Widziałem twoją duszę w postaci jaszczurki. Przepłynęła przez strumyk i zwiedziła tę oto czaszkę, poczem wróciła do ciebie przez usta”.

2. Hierarchia katarów

Katarzy posiadali swoją hierarchię. Nigdy nie mieli papieża, ale istniało u nich stanowisko biskupa. Na południu Francji istniało pięć diecezji katarskich: Tuluza,



Carcassonne, Albi, Agen i Razés. Biskupi byli wybierani przez z Doskonałych. Każdy biskup posiadał jako pomocników „syna starszego” i „syna młodszego” oraz diakona. Po śmierci biskupa jego „syn młodszy” wyświęcał na biskupa „syna starszego”, stając się równocześnie „synem starszym”, a zgromadzenie wiernych wybierało nowego „syna młodszego”. Taki tryb obiadania stanowisk nie zawsze jednak i nie wszędzie był praktykowany.

Obok biskupa i jego „synów” i „diakonów”, niezwykle ważną rolę w życiu katarów odgrywali Doskonałi. Tylko oni mogli udzielać *consolamentum*, wyświęcania Doskonałego oraz drugiego *consolamentum*, jako bezpośredniego przygotowania do śmierci przez odpuszczenie grzechów. Udzielano go zwykle tuż przed śmiercią, gdy było pewne, że wierny już umrze i nie popełni ponownie grzechu. Z umieraniem jednak różnie bywało. Zdarzało się nieraz, że wierny mimo przyjęcia drugiego



Heretyk na stosie, rycina współczesna

consolamentum (odpowiednik katolickiego sakramentu Ostatniego Namaszczenia), żył nadal. W takiej sytuacji, by go nie narażać na ponowne zgrzeszenie (zwłaszcza w czasach prześladowań, kiedy Doskonali byli trudno osiągalni), katarzy stosowali za jego zgodą praktykę *endura*. Polegała ona na co raz większym ograniczaniu choremu pokarmu i napoju, aż do przerwania jego podawania, co powodowało śmierć z wycieńczenia.

Spółeczność katarów składała się z dwóch warstw. Do pierwszej należeli Doskonali, czyli Ludzie Dobrzy, którzy dostąpili wtajemniczenia, do drugiej zaś Wierzący, czyli zwykli adeptci. Obie te warstwy różniły się trybem życia i obowiązkami. Decyzja zostania Doskonałym dojrzewała u Wierzącego powoli i była rezultatem jego wewnętrznego rozwoju, wewnętrznego oczyszczenia, czego dowodem było pragnienie wyświęcenia. Powołanie do stania się Doskonałym mogło ujawnić się w każdym okresie życia człowieka.

Przystąpienie do warstwy Doskonałych odbywało się poprzez przyjęcie wspomnianego wyżej *consolamentum*, tzn. „pocieszenia” bądź „dodania odwagi”, jakie Duch Święty Pocieszyciel przyniósł

Apostołom w dniu Pięćdziesiątnicy, zwanej u nas dzisiaj Zielonymi Świątkami. Był to chrzest duchowy, nie zaś – jak u katolików – chrzest wodą, ponieważ woda jako materia jest zła, a ponadto w *Dziejach Apostolskich* (I, 5) napisano: „Jan chrzczył tylko wodą, wy zaś będziecie ochrzczeni Duchem świętym”. Owo *consolamentum* czyniło z Wierzącego ministra sekty i dawało mu władzę przekazywania innym Ducha Świętego przez nałożenie rąk. Ceremonia ta była stosowana ściśle według Rytuału (księgi liturgicznej) będącego w posiadaniu katarów.

Chrzest duchowy poprzedzony był długim okresem przygotowań, trwającym od jednego do trzech lat. W tym czasie postulant pościł trzy razy w tygodniu i bardzo rygorystycznie przestrzegał trzech wielkich postów – w Wigilię Bożego Narodzenia, wigilię Wielkanocy i wigilię Zesłania Ducha Świętego. Umartwiając ducha modlitwą zarazem osłabiał dobrowolnie ciało – dzieło Złego – częstym puszczaniem krwi i surowymi postami. Pod moralnym nadzorem Kościoła Czystych praktykował umartwianie. Nie jadł mięsa, wyrzekał się własności materialnej i związków rodzinnych, mówił zawsze prawdę, był

sprawiedliwym, wstrzemięźliwym i odważnym wobec przeciwności losu.

Wyświęceni Doskonali żyli życiem autentycznie ascetycznym. Wędrowali i głosili kazania, byli otoczeni powszechnym szacunkiem współwierzących i cieszyli się dobrą opinią również u katolików. Ich życiu moralnemu nie można było nic zarzucić. Doskonali nosili zazwyczaj długie włosy i brody. Dlatego niektórzy wierni nazywali ich „barbas” również wtedy, gdy brody nie posiadali. Nigdy nie nazywali sami siebie dumnym imieniem Doskonałych. Wierzący mówili o nich po prostu „dobrzy chrześcijanie”, „dobrzy ludzie”, „przyjaciele Boga”. Doskonałe kobiety zwano „dobrymi chrześcijankami” bądź „dobrymi kobietami”.

Dobrzy Ludzie ubierali się na czarno, a na głowie nosili rodzaj toczka bądź okrągłego czepka. Doskonałe ubierały się na ciemno i zawsze chowały włosy. Podobno, ale nie na pewno, Doskonali wiązali sobie na ciele, pod pachami cienki lniany sznurek symbolizujący wyświęcenie. Do paska przytracali w skórzanym woreczku Ewangelię świętego Jana, a czasem i garnuszek, gdyż nie chcieli używać naczyń, w których uprzednio gotowano potrawy z tłuszczem. Chodzili zawsze parami, pilnując się wzajemnie i pomagając sobie. Łączyły ich wspólne losy, aż do spalenia na stosie łącznie. W czasie prześladowań ubierali się jak wszyscy inni, golili brody i nosili krótkie włosy, aby się nie wyróżniać. Zaczęli nosić modne wtedy płaszcze z kapturem. Unikali wtedy wspólnych podróży i spotykali się tylko wieczorami w zaprzyjaźnionych domach, przemycając do nich z twarzą zakrytą kapturem.

Do warstwy Wierzących przystępowało się przez zgromadzenie „początkujących” lub „słuchających”. Wiedli oni zwykłe życie ludzi świeckich. Wolno im było posiadać dobra ziemskie, zakładać rodziny, rozwodzić się, zabijać, prowadzić wojny, jeść mięso. Obowiązkiem ich było

służyć Doskonałym (również finansowo), a przed śmiercią mogli oni przyjąć *consolamentum* umierających, które dawało szansę na uzyskanie od Boga – za wstawiennictwem Wiernych – odpuszczenia grzechów i zbawienia. Po śmierci człowieka dusza potrzebowała 3-4 dni na opuszczenie ciała. W dniach tych Doskonali nie opuszczali zwłok i modlili się za zmarłego, po czym dusza ulatywała do nieba przez dziurę zrobioną w dachu. Zwłokom nie okazywano szacunku, wszak ciała stworzone przez szatana skazane są na nicość i nie zmartwychwstaną. Pod wpływem tradycji chroniono je jednak przed sprofanowaniem i atakami zwierząt, grzebiąc na własnym cmentarzu, a w czasie prześladowań – by się nie zdradzić ze swoją odrębnością – również na cmentarzach katolickich. Kto zaś odpadł od Kościoła katarów i po namyśle postanowił do niego powrócić, ten musiał się poddać obrzędowi zwanemu *reconsolatio*, czyli ponowne pocieszenie.

3. Kult u katarów

Kult nie był rozbudowany. Daleko też było mu do okazałości liturgicznych ceremonii katolickich. Katarowie nie posiadali nawet własnych świątyń. Gromadzili się wszędzie, w domach prywatnych, na podwórkach, a w okresie prześladowań w szopach, w lasach czy w ruinach zamków. Całe nabożeństwo składało się z lektury urywka Nowego Testamentu, kazania, błogosławieństwa i odmówienia modlitwy „Ojcze nasz”. Głównym świętem katarów był dzień Zesłania Ducha Świętego Pocieszyciela (Zielone Świątki), które uważano za rocznicę założenia Kościoła katarów.

4. Skład społeczny katarów

Ideologia katarów przyciągała przede wszystkim zrujnowaną drobną szlachtę, rzemieślników, kupców i chłopów. Ale katarysta znajdował również zwolenników wśród panów feudalnych, którzy w jego

ideologii szukali wsparcia dla swoich koncepcji uniezależnienia się od kleru, konfiskaty jego majątków, uchylania się od płacenia podatków Kościołowi katolickiemu. Co więcej, wielu księży katolickich było równocześnie katarami. Badacze wyróżniają w dziejach katarów langwedoczkich trzy okresy, charakteryzujące się różnym składem społecznym tej sekty. W latach 1209-1250 w kataryzmie przeważała szlachta, w latach 1250-1300 bogate mieszczaństwo, bankierzy, przemysłowcy, prawnicy i drobni posiadacze ziemscy zasymilowani z mieszczaństwem, w latach zaś 1300-1350 robotnicy miast i wsi. W każdym jednak z tych okresów należeli do katarów – w różnych procentach – przedstawiciele wszystkich klas.

W tych różnych okresach kataryzm był też w różny sposób „upolityczniany”. W pierwszym okresie służył on interesom wielkiej i drobnej szlachty, w drugim służył bardziej aspiracjom mieszczaństwa i wtedy szlachta często porzucała herezję, w trzecim okresie natomiast nie miał już znaczenia politycznego ani społecznego i wtedy wyrażał przeważnie pragnienia „maluczkich”, aby polepszyć ich warunki życia i ustanowić porządek dobra przeciw porządkowi zła. Różnie też w tych trzech okresach przedstawia się w kataryzmie udział kobiet i mężczyzn. René Nelli (*Życie codzienne katarów w Langwedocji w XIII wieku*, Warszawa 1979, s. 98) wyjaśnia, że w pierwszym okresie bardziej wiążą się z kataryzmem szlachcianki niż mężczyźni „dobrze urodzeni”; i to w sposób prawdziwie religijny. W drugim – mniejszy udział biorą mieszczańki, większy mieszczenie, którzy konspirują i knują spiski polityczne, nie wtajemniczając w to nawet swoich żon. W trzecim okresie z kolei kobiety chłopskie są bardziej niż mężczyźni oddane służbie Doskonałym, bardziej miłosierne i w ogóle bardziej niż chłopcy zaangażowane religijnie.

W sumie, jak utrzymuje wnikliwy badacz kataryzmu J. Duvernoy (*Les Albigeois dans la vie sociale et économique de leur temps*, Toulouse 1964), kataryzm był bardziej arystokratyczny i mieszczański niż ludowy (choć wśród Doskonałych było tylko 18 procent szlachty) i raczej miejski niż wiejski. Liczba Wierzących w okręgu Tuluzy i Laurgais sięgała 30-40 procent ludności, natomiast w niektórych regionach rolniczych w latach 1209-1244 była relatywnie dużo niższa.

5. Zagrożenie ustroju feudalnego

Podobno możnowładcy nigdy nie uświadamiali sobie, że kataryzm może zagrozić podstawom społeczeństwa feudalnego. Nigdy też nie zajęli wobec katarów postawy otwarcie wrogiej, a w okresach politycznie dla siebie niesprzyjających, broniąc swoich praw i przywilejów w katarach szukali oparcia. Kataryzm jednak ze swej natury, z własnej doktryny przeciwstawiał się feudalizmowi, aczkolwiek nie zmierzał wprost do jego likwidacji.

Katarzy atakowali hierarchię feudalną. Wedle ich doktryny Diabeł, chcąc zwieść Anioły, proponował im zstąpienie na ten świat, gdzie każdy upaja się władzą nad innymi: cesarz rządzi królem, król hrabią, hrabia baronem, mąż żoną, a w społeczeństwie takim można „za pomocą jednej bestii schwytać drugą”. Prawdziwą głową hierarchii feudalnej jest sam Szatan – „książę tego świata”.

Katarska doktryna o reinkarnacji podkopywała z kolei dobre samopoczucie i pewność siebie feudalów. Kwestionowała pojęcie dziedziczności, zgodnie z którym ojciec przekazywał synom nie tylko swoje cnoty, ale i „naturalne” prawo do rządzenia innymi i do wyłącznego posiadania ziemi. Mówiąc wielkim feudalom, że w poprzednim wcieleniu byli oni biednymi chłopami, katarzy osłabiali ich wiarę w doskonałość i ciągłość swego rodu.

W struktury i praktyki feudalne uderzała też katarska doktryna o sprawiedliwości. Katarzy głosili, że prawdziwy Bóg nie jest twórcą tego niesprawiedliwego społeczeństwa. Odrzucali panującą w średniowieczu sprawiedliwość boską i ludzką, tzn. trybunały kościelne i państwowe, a proponowali zastąpienie ich pokojowym arbitrażem, sprawowanym przez Doskonałych. Arbitraż ten zaczął stawać się w miastach rządzonych przez rajców regułą w konfliktach między rzemieślnikami a kupcami oraz cechami. W ten sposób katarzy zmierzali do zlikwidowania jednego z podstawowych przywilejów wielkich i drobnych feudałów, którzy pod przykrywką sprawiedliwości wymuszali od ludzi pieniądze i gromadzili nadmierne dochody.

Zakazując składania przysięgi, katarzy uderzali również w podstawy ówczesnego społeczeństwa feudalnego, hierarchicznie sobie podporządkowanego i związanego przysięgą wierności wasala wobec pana. Rozbijali bań i mit o wojnie i bohaterkiej śmierci ponoszonej, w ówczesnym odczuciu, dla najszlachetniejszej sprawy Boga, wiary i Kościoła. Dla katarów nie istniała wojna dobra, piękna czy sprawiedliwa. Jeden z najgłośniejszych myślicieli katarskich, Peire Cardenal głosił wręcz bulwersującą tezę, że krucjaty są dla duchownych tylko środkiem dla wykorzystywania żołnierzy dla swoich celów.

Analizując zagrożenie ustroju feudalnego przez katarów należy pamiętać, że ówczesne społeczeństwo zachodnioeuropejskie było wewnętrznie mocno zróżnicowane. Oficjalnie przyjęty wówczas podział na trzy grupy: *oratores* (tych, którzy się modlą), *bellatores* (tych, którzy walczą), *laboratores* (tych, którzy pracują), aczkolwiek niepozbawiony sensu, był zbyt ogólnikowy i nie odzwierciedlał prawdziwej sytuacji społecznej. Istniały bowiem spory między ludnością miejską i wiejską, pomiędzy dzielnicami, korporacjami, pomiędzy papiestwem i władcami świeckimi,



Dysputa religijna

feudałami świeckimi i duchownymi, żołnierzami i kupcami. Katarzy i inni myśliciele heterodoksyjni wydobywali na jaw to zróżnicowanie, a wychodząc z pesymistycznej i krytycznej wizji świata materialnego i społecznego, ujaskrawiali ówczesne antagonizmy. Ustroju obalić nie byli w stanie. Był na to zbyt silny i zmiążdżył katarów.

6. Reakcja władz kościelnych i państwowych

Heretyków tych dostrzega najpierw synod w Reims, który w roku 1148 zabrania ich osłaniania pod karą ekskomuniki. Synod w Montpellier w roku 1162 ponawia ten zakaz, a ponadto zaleca książętom użycie wobec heretyków władzy świeckiej. Synod w Tours w roku 1163 zapowiada więzienie katarów i pozbawianie ich majątków. W roku 1179 Sobór Laterański III zwraca się o pomoc przeciwko heretykom do władzy świeckiej, którą uważa za swoje *brachium saeculare* (ramię świeckie).

Za panowania papieża Lucjusza III odbył się kolejny synod w Weronie (w r.

1184), w którym tenże papież uczestniczył osobiście. Synod wydał dekryty, w których obłożył klątwą katarów oraz „tych wszystkich, którzy w przedmiocie wiary myślą i nauczają inaczej niż Kościół rzymski”, a panów świeckich wezwał do zastosowania „silnej ręki” wobec heretyków i ich wspólników. W tejże Weronie papież odbył naradę z cesarzem Fryderykiem Rudobrodym (Barbarossą), w czasie której opracowano pierwszy projekt utworzenia urzędu kościelno-państwowego, mającego stać na straży „czystości doktryny i obyczajów”, zwanego później Świętą Inkwizycją. Cesarz pierwszy sformułował w swym edykcie kary państwowe na heretyków: wygnanie z kraju, konfiskatę majątku, infamię i wykluczenie od piastowania wszelkich stanowisk publicznych. Rozpoczęło się więc administracyjne tępienie heretyków, walka z nimi nie tylko doktrynalna, lecz również walka „ogniem i mieczem”. Zaczęto ich poszukiwać, wykrywać i sądzić. Działalność tę prowadziła najpierw Inkwizycja biskupia.

Synod w Narbonne (1227) i Tuluzie (1229) nakazywał arcybiskupom, biskupom i opatom ustanawiać komisje śledcze, w skład których wchodził jeden ksiądz i kilku świeckich. Komisje te miały szerokie uprawnienia. Mogły o każdej porze dnia i nocy wchodzić do domów, piwnic i stodół, przeszukiwać lasy, odludne miejsca i pieczary. Znalezionych heretyków komisje wydawały z reguły w ręce biskupa, ten zaś przekazywał ich miejscowej władzy państwowej celem wykonania wyroku śmierci, na ogół przez spalenie na stosie.

Inkwizycja biskupia była jednak stosunkowo umiarkowana, a czasem nawet niedbała w stosowaniu represji. Na pewno nie dysponowała jeszcze udoskonalonym aparatem policyjnym, który do perfekcji doprowadziła później Inkwizycja zakonna, dominikańska. Ponadto, biskupi południowi skłonni byli raczej chronić swoich



rodaków niż ich prześladować, a biskup Pamiers, Bernard Saisset, spokrewniony podobno z hrabią Tuluzy, skrycie sprzyjał heretykom.

Do spraw walki z heretykami Stolica Apostolska delegowała swoich legatów, którzy na ogół pełnili też obowiązki inkwizytorów. Jeden z nich – Pierre de Castelnau – ekskomunikował protektora katarów, hrabiego Tuluzy Rajmunda VI, za co został zabity przez służbę tegoż hrabiego w roku 1208. Wypadek ten był bezpośrednim powodem zorganizowania przeciw katarom całej wyprawy militarnej w roku 1209.

OGŁOSZONO KRUCJATĘ. Na czele wojsk królewskich stanął Szymon de Montfort. W czasie działań wojennych wielu katarów zmasakrowano bez sądu i zdewastowano dorobek kulturalny Langwedocji. Wojska krzyżowe zdobywały jedno miasto po drugim. Żołnierze nie umieli odróżnić katolików od heretyków, więc selekcji dokonywali na ogół legaci papiescy. Istnieje pewne opowiadanie, którego historycznej autentyczności przeczą historycy katolicy. Oto Piotr Cezariusz, zakonnik klasztoru Heisterbach pod Bonn, w swojej książce *Dialogi miraculorum* odnotował taki epizod, mający mieć miejsce w czasie oblężenia Béziers w lipcu 1209 r. Gdy żołnierze wzięli miasto szturmem, zanim wycięli

jego dwanaście tysięcy mieszkańców, uważali, że należy oszczędzić katolików. Nie umiając odróżnić ich od katarów, poradzili się papieskiego legata, którym był biskup Citeaux, Arnaud. Ich pytanie brzmiało: „Co mamy czynić, nie umiemy bowiem odróżnić dobrych od złych?” Na co legat miał odpowiedzieć: „Zabijajcie ich wszystkich, Bóg wie, którzy należą do niego”.

W roku 1210, po zdobyciu Minerve, legat Arnold Amaury oświadczył Szymonowi de Montfort: „Pragnę śmierci wrogów Chrystusa, ale jako mnich i ksiądz nie śmiem skazywać ich na śmierć”. Miał nadzieję, że katolicycy rycerze wezmą ten obowiązek na siebie. Ponieważ dowództwo krucjaty dawało Doskonałym możliwość wyparcia się herezji i nawrócenia, niektórzy krzyżowcy oburzali się na to: „Ich nawrócenie nie będzie szczere, mówili, gdy tylko będą wolni, powrócą do herezji”. – „Pocieszcie się, odpowiadał im legat, bardzo niewielu się nawróci”. Rzeczywiście, Doskonali w liczbie stu czterdziestu sami wstąpili na stos, nie chcąc nawet wysłuchać kazania nawracającego na katolicyzm. „Nasi nie musieli wcale ich popychać – pisze Pierre des Vaux-de-Cernay – sami dobrowolnie rzucali się w płomień”. Zgromadzone w tym klasztorze Doskonale (kobiety) również nie chciały się nawrócić i naśladując mężczyzn, same poszły na stos.

W roku 1211 Szymon de Montfort wykrył w zamku Cassés sześćdziesięciu Doskonałych i kazał ich spalić na stosie. W Lavaur pewną Doskonałą wrzucono do studni i ukamieniowano, a wszystkich Doskonałych spalono na stosie.

W roku 1213 po zwycięskiej bitwie pod Muret, papież podarował Szymonowi de Montfort włości Rajmunda VI i nadał mu tytuł hrabiego

Tuluzy. Niespodziana śmierć Szymona (1218) zmieniła jednak stan rzeczy. Rajmund VI wraz ze swoim synem Rajmundem VII odebrali swe włości w roku 1222. Wówczas papież wszedł w układy z królem Francji Ludwikiem VIII i wojna z katarami zawrzała na nowo. Całą prowincję, dotychczas kwitnącą i bogatą, zamieniono w pustynię.

Wojnę zakończono traktatem w Meaux pod Paryżem (zwanym również traktatem paryskim) dnia 12 IV 1229 r., zawartym między królem Francji Ludwikiem IX a hrabią Tuluzy Rajmundem VII (który wykupił się od klątwy papieskiej ogromną sumą pieniędzy). Rajmund zaprzysiągł wierność Kościołowi, zobowiązał się do tępienia heretyków na swoich ziemiach, których wielką część musiał jednak odstąpić na rzecz króla Francji. Na znak przyjaźni córkę swą dał jednemu z braci Ludwika IX, a po śmierci Rajmunda VII cała Langwedocja przeszła do Korony Francuskiej.

Skończyła się krucjata, ale nie skończyła się walka z katarami. Metodami pokojowymi, tzn. głoszeniem kazań, nawracał ich także św. Dominik, który zmarł w 1221 r. Natomiast metodami administracyjnymi tępił ich uczniowie św. Dominika – dominikanie. Nie ufając Inkwizycji biskupiej,



papież Grzegorz IX powierzył to zadanie w roku 1232 dominikanom. Rozszalała się nagonka antyheretycka.

7. Inkwizycja dominikańska

Szczyt swojej działalności osiągnęła w latach 1308-1323, a trwała do XIV wieku, pod koniec którego pozostało tylko wspomnienie o katarach.

Inkwizytor rezydował w pałacu biskupim bądź w klasztorze dominikańskim, albo też w innym budynku, wskazanym przez króla bądź seniora. Sam w zasadzie prowadził śledztwo i przesłuchania i sam wydawał wyroki, lecz mał też do pomocy jednego lub dwóch dominikanów, którzy pilnowali prawidłowości procedury sądowej i czuwali nad aktami inkwizycji, zawsze tajnymi. Inkwizytor wraz ze swym „trybunałem” często zmieniał miejsce pobytu. Po oczyszczeniu z heretyków jednego terenu, przenosił się na nowe miejsce.

Po przybyciu do miasta, inkwizytor żądał, by proboszczowie zebrali katolików, do których wygłaszał kazanie. Potem dawał heretykom „tydzień łaski”, w czasie którego heretycy mieli obowiązek ujawnić się dobrowolnie. Ujawniającym się wymierzano stosunkowo lekkie kary, dając im następnie pisemne świadectwo pojednania z Kościołem. Musieli jednak bezwzględnie denuncjować swoich heretyckich współwyznawców – Wierzących i Doskonałych.

Świadków przesłuchiowano każdego osobno, zachowując w tajemnicy ich nazwiska, by ich nie narazić na zemstę oskarżonych. Dwa donosy wystarczyły by aresztować podejrzanego. Nawet jeden donos był już zagrożeniem wolności i życia.

Inkwizycja rozporządzała prawdziwą tajną policją (*exploratores* – wywiadowcy), która szpiegowała katarów, podsłuchiwała rozmowy, wyszukiwała zbiegów w lasach i jaskiniach przy pomocy psów, wytresowanych do tego rodzaju „polowań”.

Wszyscy donosiciele byli należycie wynagradzani ze skarbcza królewskiego.

Każdy, kto utrzymywał jakiegokolwiek stosunki z heretykami, uważany był z góry za zwolennika herezji i wzywany przed sąd. Jeśli się nie stawił, uważany był za winnego i skazywany. Kary były różne. Dożywotnie lub długoletnie więzienie w bardzo ciężkich warunkach, na ogół jednak spalenie na stosie. Palono tysiące heretyków. Pomyłki w wydawaniu wyroków doprowadziły na stos nie mało ludzi nie mających nic wspólnego z jakimikolwiek odchyleniami doktrynalnymi, ale tym sobie głowy nie zaprzętało.

Inkwizytor ogłaszał nieodwołalny wyrok w czasie uroczystego nabożeństwa w kościele, w obecności władz miasta, całego duchowieństwa i miejscowego biskupa oraz opatów z sąsiedztwa, których koszty podróży opłacano z dóbr skonfiskowanych heretykom. Uroczystość ta nazywała się „kazaniem publicznym” lub „aktem wiary” (*auto da fę*) i zawsze przyciągała wielkie tłumy. Po wydaniu wyroku skazanych oddawano w ręce władzy świeckiej celem wykonania go, a ta paliła ich na stosie.

By scharakteryzować panowanie inkwizycyjnego terroru przytoczmy słowa znawcy tego problemu, René Nelli'ego z jego książki *Życie codzienne katarów w Langwedocji w XIII wieku*, Warszawa 1979, s. 113-114: „Trudno bezstronnie ocenić rozmiary nadużyć, ekscesów i krzywd popełnionych przez inkwizycję: pewne jest, że była zniechęcona przez ludność wszystkich krajów, w których działała. Jednakże w pewnych regionach i niektórych okresach była stosunkowo umiarkowana. Na przykład w hrabstwie Foix przed przybyciem Jakuba Fournier płonęło niewiele stosów. A za czasów Jakuba Fournier, sędziego rozumnego i sprawiedliwego (oczywiście w ramach instytucji, którą potępiać musimy jako taką), kary śmierci były znacznie

rzadsze niż kary więzienia czy inne, lżejsze kary. Gdzie indziej jednak tłumienie herezji przybrało tak okrutną i nieludzką postać, że wzburzyło przeciw Kościołowi ludność, pragnącą tylko życia w spokoju. Inkwizycja dotykała wszystkich bez różnicy i pastwiła się nad zwycięzonymi. Nic dziwnego, że przez dwa stulecia mieszkańcy Południa żywili do niej zaciekłą nienawiść, podobnie zresztą jak do francuskich okupantów, którzy umożliwili zainstalowanie jej trybunałów. W końcu zgodziliby się pewnie oglądać Doskonałych na stosie – tych świętych ludzi nigdy nie było wielu, zwłaszcza pod koniec XIII wieku i wiadano, że raz na zawsze ofiarowali swe życie. Ale błędem inkwizycji było zaprowadzenie powszechnego terroru; nikt – katolik ani katar – nie mógł być pewny, czy zdoła przed nią się ustrzec; na wszystkich klasach społecznych ciążyła straszliwą groźbą, wobec której ludzie uczciwi czuli się bardziej bezbronni niż tchórze i zdrajcy – nikogo nie

pozostawiała w spokoju. Życie codzienne mieszkańca Langwedocji w latach trzydziestych XIII wieku nie toczyło się, naturalnie, w stanie nieprzerwanego alarmu, ale nikt w tym okresie, ani w Tuluzie ani w Pamiers, ani w jakiegokolwiek wsi langwedockiej, nie mógł się pochwalić, że *przeżył tydzień, w ciągu którego inkwizycja w taki czy inny sposób nie dałaby się mu we znaki*.

Warto też pamiętać, że w wojnach krzyżowych z katarami odgrywały rolę również motywy polityczne. Była to wojna północnego królestwa francuskiego z Południem, dotychczas od królestwa niezależnym. Pacyfikując katarów, pozbawiono znaczenia politycznego hrabiów Tuluzy i podporządkowano tę prowincję Paryżowi.

Zalecana lektura: René Nelli, *Życie codzienne katarów w Langwedocji w XIII wieku*, Warszawa 1979. J. Duvernoy, *Les Albigeois dans la vie sociale et économique de leur temps*, Toulouse 1964. □



SANEJ DOK?

ODWET

Znany poeta i współtwórca europejskiego romantyzmu, autor powieści poetyckich, dramatów, poematów dygresyjnych, George Gordon Byron kulał i rozpacział, że z tego powodu nie zawsze podoba się kobietom. Najmniejsza wzmianka na temat jego kalec-

stwa zawsze doprowadzała go do wściekłości.

Pewnego dnia księżna Devonshire, która miała lekkiego zęza, zapytała go:

- Jak tam idzie, milordzie?

- Tak jak pani widzi! – wyszczał poeta.



KAZIMIERZ PASENKIEWICZ

1945. Pierwsze dni po wyzwoleniu

Od redakcji.

Publikujemy kolejne wspomnienie Profesora o jakże ważnym momencie ustanawiania „nowego ładu” w Naszym Kraju, w pierwszych dwóch miesiącach 1945 roku. Jest to relacja osobista, lecz naocznego świadka; a zarazem kogoś uczestniczącego (z czasem) na najwyższym niemal szczeblu w tych przełomowych wydarzeniach. O rzetelności Profesora – znając jego historię – nie mamy najmniejszego powodu powątpiewać. Daje on nam przy tym możliwość porównania polityków dzisiejszych z ówczesnymi – a temu także powinno służyć dziejopisarstwo jako *magistra vitae*.

W początkach lutego 1945 roku ja i moja kuzynka Jadwiga Pasenkiewicz przybyliśmy po uciążliwej podróży do Lublina. Rząd Tymczasowy, zgodnie ze swoją uchwałą, przeniósł się do Warszawy. W Lublinie pozostawało parę ministerstw, m. in. Opieki Społecznej, którego ministrem był Mantel. Był on także pełnomocnikiem połączonej PPS na tym terenie. Później był ambasadorem PRL w Wiedniu [Feliks Mantel w 1947 roku został mianowany ministrem pełnomocnym w poselstwie RP – red.] i do kraju nie wrócił.

Zgłosiliśmy się do niego. Nie znałem go, ale o moim przybyciu był już przez towarzyszy z RPPS [Robotnicza Partia Polskich Socjalistów] uprzedzony. Przyjął więc nas bardzo życzliwie. Moja kuzynka otrzymała nominację do jakiegoś departamentu ministerstwa, a ja – skierowanie do ówczesnego premiera Edwarda Osóbki-Morawskiego.



Edward Osóbka-Morawski

Na drugi dzień rano wyjechałem do Warszawy. Stwierdziłem, że miasto nie ucierpiało od

działań wojennych. Jechaliśmy tą samą szosą, którą przemierzałem jako konwojent spółdzielni setki razy. Teraz po raz pierwszy od wybuchu wojny w poczuciu pełnego bezpieczeństwa. Przenocowałem na Pradze w domu wskazanym mi przez kierowcę autobusu. Nie pamiętam, jak wyglądało mieszkanie.

Następnego dnia zgłosiłem się do premiera na ul. Szwedzką, na Pradze. Praga była mało zniszczona, tu też skoncentrowało się życie Warszawy. Ministerstwa mieściły się koło Dworca Wileńskiego w gmachu Dyrekcji Kolei Państwowych, a prezydent KRN [Krajowej Rady Narodowej] i premier w niedużym domu przy ul. Szwedzkiej.

Na parterze tego domku rozlokowała się ochrona, kilkudziesięciu żołnierzy; na piętrze gabinety, sekretariaty i biura prezydenta KRN Bolesława Bieruta i premiera Edwarda Osóbki Morawskiego.

Zostałem przyjęty przez premiera bez czekania. Nie znałem go osobiście. Rozmawiało się z nim bardzo dobrze. Był grzeczny, zwięzły, komunikatywny; potem przekonałem się, że niełatwo zmienia opinie i decyzje. Jak większość polityków nie liczył się lub nie dostrzegał tego, że zmieniają się sytuacje i narastają nowe

tendencje. Na mnie wywarł wrażenie rzeźnego człowieka i polityka, wzbudzał zaufanie. Po rozmowie otrzymałem polecenie zorganizowania zjednoczonej PPS na terenie toruńskiego województwa.

Następnie zgłosiłem się do prezydenta Bolesława Bieruta; zajmował salę po drugiej stronie korytarza. Prezydenta znałem z lat okupacji. Spotykał się on z działaczami RPPS w moim mieszkaniu. Zostałem przyjęty razem z Felczakiem i Widy-Wirskim, przedwojennymi działaczami NPR [Narodowej Partii Robotniczej]. O Felczaku słyszałem; był to przyzwyczajony, mądry człowiek. Obaj otrzymali nominacje na wicewojewodów toruńskiego i poznańskiego.

Przysłuchiwałem się deklaracji, którą wygłosił Widy Wirski. Uroczyście oznajmił, że partia jego i on stoją na gruncie Manifestu PKWN, oraz że wierzy niezłomnie w to, że klasa robotnicza i jej partia poprowadzą narody świata do socjalizmu. Po raz pierwszy usłyszałem tak uroczystą deklarację osobistą. Było to trochę zabawne.

Przypadkowo, na samym początku polityczno-administracyjnego okresu mego życia, miałem możliwość spotkać cztery osoby, z którymi w następnych latach spotykałem się dość często. Dwaj byli przywódcami partii decydujących wtedy o sprawach narodu, a dwaj pozostali działaczami partii „satelitarnej”.

Bierut – niekwestionowany autorytet zdyscyplinowanej partii, uzgadniającej decyzje z miarodajnymi czynnikami. Osóbka-Morawski, przywódca partii ideowo i pragmatycznie niespójnej, traktowanej przez partnerów podejrzliwie. Obaj przebywali podobną drogą życiową, mieli podobne przygotowania do swej działalności polityczno-społecznej. Obaj interesowali się bardzo spółdzielczością. Premier popierał z całym zaangażowaniem „Społem”, a Prezydent „Samopomoc

Chłopską”. Obaj mieli upodobanie do długich przemówień.

Felczak, Widy-Wirski i ja mieliśmy następnego dnia zgłosić się do biura premiera po dokumenty i udać się autem do wyznaczonych nam województw. Premier miał już wtedy do dyspozycji park wojskowych samochodów, składający się z kilku willisów i doge’ów.

Przed wyjazdem postanowiłem obejrzeć miasto, z którego przed 4 miesiącami wychodziłem razem z towarzyszami. Opuszczaliśmy miasto zniszczone walkami, bombami i pożarami, ale było to miasto, a ulice były ulicami. Postanowiłem zobaczyć, co się dzieje z lokalem naszej Spółdzielni Transportowo-Spożywczej na ul. Bednarskiej 18, z moim mieszkaniem na Pięknej i z budynkami Uniwersytetu.

Dom, gdzie mieściła się Spółdzielnia, podobnie jak wszystkie inne domy na tej ulicy, był spalony. Spaliły się wszystkie papiery Spółdzielni i wszystko to, co przechowywali w jej lokalu niektórzy członkowie.

Pierwsze domy pod dachem, chociaż z powybijanymi framugami, ujrzałem na terenie Uniwersytetu. Budynki te były mało zniszczone. W piętrowym budynku na prawo od biblioteki, w sali na pierwszym piętrze, gdzie odbywały się filozoficzno-logiczne konwersatoria profesora Kotarbińskiego, stało kilkanaście łóżek. Leżały na nich okutane postacie profesorów. Powybijane okna były pozatykane papierami i kocami. Na jednym z łóżek siedział owinięty w koc Witold Jabłoński. Spotkanie niezwykle i przyjemne. W 1920 r. w wojskowym szpitalu na Politechnice Warszawskiej leżeliśmy jako ranni obok siebie. Był on wtedy żołnierzem 201 ochotniczego studenckiego pułku. W okresie międzywojennym był profesorem języków europejskich na Pekielskim Uniwersytecie, a przed wybuchem wojny – profesorem sinologii na Uniwersytecie



Ruiny Warszawy

Warszawskim. Po wojnie był profesorem i dziekanem Uniwersytetu.

Do mego mieszkania szedłem ulicami: Świętokrzyską, Marszałkowską, Kruczą. Ulica Krucza była ostatnią z większych ulic, które nie były ostrzeliwane przez snajperów. Mijając dom na Żurawiej, gdzie ostatnio mieścił się sztab AL, ujrzałem, że był wprawdzie podziurawiony, ale stał.

Ulice przypominały wąwozy; wąskie przejścia między górami gruzu i cegieł. Na węższych ulicach zawalone domy zmuszały do wspinania się na wierzchołki usypisk. Wszystko to straciło wszelki ludzki charakter i nie było podobne do żadnego tworu natury. Niewiarygodne, zjawiskowe obrazy przekraczające w swej niesamowitości wyobraźnię umysłu ludzkiego. Oglądając teraz w TV filmy zniszczonej Warszawy oswoiłem się z tym widokiem. Oglądane w rzeczywistości po raz pierwszy ruiny te wywarły niesamowite wrażenie.

Na ulicy Pięknej ocalał tylko jeden dom – oficyna posesji 46, w której na drugim piętrze mieszkałem. Ku swemu zdumieniu ujrzałem, że drzwi od mieszkania były zapieczętowane przez Ministerstwo Kultury. Na pewno była to inicjatywa Zosi Szyszko (żony Michała – „Dąbka”), aktywnej i odważnej konspiratorki. W tym właśnie mieszkaniu odbywały się spotkania, o których wspomniałem. Nie odważyłem się więc wejść do mieszkania. Bardziej interesowały mnie piwnice, gdzie przed wyjściem ulokowaliśmy cenniejsze rzeczy: dwie maszyny do pisania, radioaparat, obuwie i dwie skórzane kurtki. Wszystko było skradzione; książki i fotografie na podłodze zdeptane i zniszczone. Nie ma takich sytuacji i tragedii, z których nie skorzystałyby szumowiny ludzkie.

Szukając lokalu Ministerstwa Administracji w gmachu Dyrekcji PKP, w jednej z sal ujrzałem Władka Bieńkowskiego. Był to zdolny i niezależny w swych

poglądach polonista. Mianowano go wiceministrem oświaty. Był wrogiem teorii korzystnego oddziaływania matematyki na humanistów. Pamiętam, jak dobitnie dał wyraz tym poglądom w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, gdzie jako minister przemawiał na otwarciu roku akademickiego. Stwierdził, że nic z matematyki nie pamięta i że nauczanie jej według ówczesnych programów w szkole średniej jest stratą czasu.

Siedział wtedy w ogólnej sali samotnie przy małym stoliku i czytał jakieś papiery. Nie było przy nim nawet sekretarki.

Nazajutrz rano ja i moi towarzysze otrzymaliśmy dokumenty; załadowaliśmy paczki urzędowe i swoje mikrotobołki do willisa i ruszyliśmy w drogę do Poznania. Willis był obudowany dyktą, było ciasno i bardzo niewygodnie. Szoferem był młody żołnierz radziecki o chuligańskim usposobieniu; nieudany syn naczelnego dyrektora olbrzymich zakładów im. Kirowa (dawniej Pułłowskijskie Zawody) w Leningradzie. Prawdopodobnie dekował się w kolumnie samochodowej.

Pierwszy pamiętny nocleg w luksusowym Hotelu Centralnym w Łodzi. Pierwsza od 1939 r. kąpiel w wannie pełnej gorącej wody. Osobny pokój i czyste prześcieradła, nastrój fantastycznej bajki. W hotelu tym mieściły się różne instytucje i między innymi organizacje młodzieżowe. Bardzo aktywna była Zosia Szyszko, która razem z mężem Michałem od kilkunastu dni organizowała OMTUR (Organizacja Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego – red.). Mąż organizował komitety zjednoczonej PPS. Po paru miesiącach Michał był wiceministrem u Mikołajczyka. Nie widziałem się z nim. Był na naradzie. W tych dniach narady i konferencje odbywały się nieprzerwanie; co było zrozumiałe.

Z Łodzi wyjechaliśmy następnego dnia rano. W drodze stałe przeszkody i komplikacje. Objazdy, uszkodzone

mosty, maszerujące oddziały, tabory, kolumny samochodów. Front to tylko linia, ale za nią setki kilometrów zaplecza frontowego. Okazało się, że dojechać do Poznania było o wiele łatwiej niż wjechać do niego. Okrążyliśmy miasto dokoła próbując wjazdu ze wszystkich stron; udało się to od zachodu.

W Poznaniu trwały walki. Niemcy w cytadeli bronili się dzielnie; byli niewątpliwie żołnierzami.

Centrum miasta nie było zniszczone. Odszukaliśmy Urząd Wojewódzki. Widy Wirski zameldował się u wojewody, ja i Felczak czekaliśmy w sekretariacie, aby go pożegnać. Wtem podchodzi do mnie młody pułkownik; po chwili poznałem go. Był to Julek Bardach, syn znanego we Włodzimierzu (na Wołyniu) lekarza. Studiował w Wilnie prawo i tam należał do komunizującej grupy Putramenta – Sztachelskiego. Teraz w Poznaniu był komendantem szkoły podchorążych.

Drogi życiowe pewnych ludzi krzyżują się ze sobą wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu wielokrotnie. Do osób, które wielokrotnie spotykałem i to w niezwykłych sytuacjach, należał profesor Juliusz Bardach. Przyjmowałem go u siebie razem z pozostałymi członkami delegacji polsko-radzieckiej do budowy Nowej Huty w Krakowie. Był świadkiem mego ślubu, drugim mężem Zofii Szyszko, doktorantem bliskiego mi prof. Adama Vetulaniego. Wszystkie te spotkania były niespodziewane i zaskakujące.

Był już wieczór, pora myśleć o noclegu. Weszliśmy do najbliższego domu. Na pierwszym piętrze weszliśmy do niezamkniętego na klucz mieszkania. Było obszerne, prawie luksusowe. Łóżka w sypialniach zasłane. Po chwili przyszedł staruszek dozorca i zapytał o polsku, czy zamierzamy tu zostać; powiedzieliśmy, że tylko na jedną noc.

Następnego dnia w Urzędzie Wojewódzkim czekał na nas szofer, a także



Powojenne polskie drogi

rektor Uniwersytetu Poznańskiego – profesor medycyny Różycki (?). Miał jechać z nami do Torunia. Usłyszawszy, że mamy kłopoty z benzyną, zapewnił nas, że możemy o to być spokojni. Świetnie orientował się w terenie i bezbłędnie wyprowadził nas z miasta na toruńską szosę. W miastach lub miasteczkach zajeżdżaliśmy do aptek, skąd po krótkiej chwili Profesor wychodził z butelką spirytusu. Spirytus ten kierowca nasz bez trudu zamieniał u kolegów w określonej relacji na benzynę. Był przekonany o słuszności transakcji. Wiedziałem już teraz, dlaczego szoferzy nie chcieli zabierać nas w drodze do Lublina. Obyczaj nakazywał zatrzymywać ciężarówki z butelką w ręce.

Była odwilż. W Toruniu na lewym brzegu Wisły skupisko oddziałów wojskowych; topniejący śnieg, auta. Most na Wiśle był załamany. Dwie trzecie tego mostu, od lewego brzegu rzeki, były nieuszkodzone. Do tej części dobudowano prostopadle dziesięciometrowe kolano i znów kolano do brzegu miejskiego.

W miejscu, gdzie most skręcał w prawo, na jakiejś szynie mostowej wisiała nad rzeką ciężarówka. Kierowca, nim go wyłowili, wisiał w szoferce parę nocnych godzin. Wóz wisiał dalej.

Przejeżdżając przez rynek w Toruniu kierowca nasz potrafił starszego kapitana Wojska Polskiego, po czym wyskoczył z auta i uderzył go. Nie wystąpiłem czynnie w obronie kapitana. Ograniczyłem się tylko do interwencji słownej. Do dziś nie mogę sobie tego darować. Byłem zaskoczony i jako inwalida odzwyczyłem się od reakcji agresywnych. Jechałem wtedy już sam; Felczaka i rektora wysadziliśmy w województwie.

Na noc szofer i ja przyjechaliśmy do przedwojennego znajomego Felczaka. Był to popularny w Toruniu Maćkowiak, właściciel najlepszej w mieście restauracji. W domu tym mieszkał niemiecki wiceprezydent miasta. Ukrywali się tam także zbiegli z oflagu angielscy lotnicy; jednego z nich poznałem przy kolacji. Maćkowiak miał 2 nieletnie córki. Była to

polska rodzina, która musiała, jak wiele innych, dostosować się do okupacji. Dowiedziałem się później, że Maćkowiak został uwięziony. Widocznie komuś na tym zależało.

Niestety w tych czasach uaktywnili się nie tylko ideowi, ofiarni ludzie. Uaktywniły się także szumowiny, dla których głównym celem żalosnego życia było obłowienie się.

Ja i szofer zajmowaliśmy na piętrze sąsiednie sypialne pokoje. W pozostałych siedmiu mieściły się: biblioteka, pokój muzyczny, pokój do gier, saloniki i pokój geograficzny. Szofer chodził jakiś czas po pokojach; wrócił zły i rozgoryczony. *Eto swinstwo tak żyć. K majemu otcu czasto prijezzał Kirow i drugije. Diriektor gromadnowo zawoda, siemia, a czetyrie wsiewo komnaty.*

Rano szofer odjechał. Dużo takich przeżyło wojnę.

Wojewodą toruńskim był w lutym Henryk Świątkowski. Przedwojenny adwokat. Łączył urok osobisty z dużym doświadczeniem w pracy społecznej. Był członkiem PPS, później PZPR. Od kwietnia 1945 r. był ministrem sprawiedliwości. Mieli do niego pretensje niesłuszne, że w okresie międzywojennym podpisał apel o zwolnienie aresztowanego w ZSRR działacza czy naukowca (nie pamiętam nazwiska).

Do niego, jako do wojewody, udałem się rano, po pierwszej przespanej w Toruniu nocy. Sprawy mej przyszłej pracy, jak i osobiste, załatwiłem szybko i pomyślnie. Sądziłem obaj, że odpowiednie stanowisko w administracji ułatwi mi kontakty z szerszymi kołami ludności. Takim było w urzędzie stanowisko inspektora starostw. Udałem się więc do naczelnika wydziału osobowego. Potraktował mnie bardzo przyjaźnie.

Administracja była dla mnie nieznanym światem. Dotychczas nie pracowałem nigdzie w żadnym urzędzie ani zakładzie.

Przekonałem się, że tu, częściej niż w innych dziedzinach aktywności ludzkiej, rodzą się wciąż nowe sytuacje i problemy, których rozwiązanie wymaga dużo dobrej woli i rozsądku. Najczęściej zastępują je rutyna i wygodnictwo.

Co prawda, problemy dotyczą tu najczęściej konwencji społecznych lub ich interpretacji. Kryterium prawdy, znane mi i zrozumiałe na terenie nauk, zostaje tu zastąpione przez stale budzące wątpliwości kryterium słuszności. Dlatego też tak potrzebną jest administracji uczciwość i rozum.

Bardzo pomocnym w wykonaniu moich zadań, wymagających stałego kontaktu z terenem, byłoby auto; ale o nie trudno było, zwłaszcza tu, gdzie głównym gospodarzem były władze wojskowe. Miałem jednak szczęście. Ktoś powiadomił mnie, że w jednej z szop stoi ukryte auto „p-vier”. Musiałem je zabrać; było mi do wykonania zadań bardzo potrzebne, a przez obecnego posiadacza nielegalnie przywłaszczone. Po raz pierwszy w życiu korzystałem z prawa silniejszego.

Wóz był zdemolowany. Korzystanie z niego było podróżą w nieznane. Trudno było przewidzieć, gdzie i kiedy wysiądzie. Dla mnie, byłego kierownika transportu zdemolowanymi autami okupacyjnej spółdzielni – nic nowego.

Drugim wydarzeniem, pomyślnym w tamtym okresie, było uzyskanie bardzo odpowiadającego mi mieszkania. Mieściło się ono na IV piętrze dużej kamienicy przy ul. Mickiewicza 28 (?). Było tam 5 pokoi, bardzo skromnie umeblowanych. Wolnych mieszkań wtedy w Toruniu nie brakowało. Starano się głównie o mieszkania nowoczesne, pięknie umeblowane. Ja osobiście ceniłem jedynie przestrzeń. W najgorszych okresach mego życia, gdy było głodno i chłodno, nigdy nie brakowało mi przestrzeni w mieszkaniach.

Moje obecne mieszkanie opuszczone zostało nagle. Pełno było tam dziecinnych rzeczy, książek, pamiątek rodzinnych,

zabawek. Prawdopodobnie, sądząc z tego, co moi poprzednicy zostawili, żyli tam spokojni, dobrzy ludzie. Samotnie spędzane w tych pokojach godziny były niewesołe – ruina czyjegoś życia i szczęścia. Dawne hasło „biada zwyciężonym” koresponduje z hasłem „biada zwycięzcom”. Myślę, że nie tylko Kato Młodszy przeżywał smutek zwycięstwa. Chodzi nie tylko o los zwyciężonych. Bardzo często zwycięstwo prowadzi do znikczemnienia zwycięzców. Rodzi w nich poczucie bezkarności, rozpasania, okrucieństwo. Łatwiej wybaczyć to wrogom, niż rodakom. Byłem świadkiem wielu zdarzeń, o których chciałbym zapomnieć.

Ogólny obraz województwa, jaki się wtedy mnie przedstawił, to ocalałe z pożogi wojennej wsie i miasta; bardzo dużo wojska w terenie, broniący się jeszcze Grudziądz, a także wylęknieni milczący ludzie.

Współistnienie polskiej cywilnej władzy i wojskowej radzieckiej, traktującej województwo jako prowincję Reichu, powodowało różne konflikty, przeważnie natury gospodarczej. Chodziło najczęściej o „wajennuju dobyczu”, której obie strony bardzo potrzebowały. Pamiętam kilka takich sytuacji. Wywożono do Związku Radzieckiego urządzenia młynów bydgoskich, m.in. sita. Robotnicy polscy poskarżyli się jednostkom polskim. W rezultacie przez dwa dni pociąg stał na torach, a obok naprzeciw siebie dwa uzbrojone oddziały.

Drugi taki incydent miał miejsce w Grudziądzu zaraz po jego wyzwoleniu. Auto radzieckie wywoziło małą wartość maszyny z fabryki narzędzi rolniczych. Premier i ja byliśmy wtedy u starosty Gordona. Ktoś z fabryki przybiegł po ratunek do starosty. Usłyszawszy to Osóbka-Morawski pędem ruszył na teren fabryki; ja na szczytach i starosta za nim. Premier krzyczał po polsku do żołnierzy: „Zrzucaj!”. Ja wytłumaczyłem im, kto to jest i o co chodzi; na to zrozpaczony żołnierz krzyczał: „*Nada že panimat', ja wied' saldat, u mienia prikaz*”

(ale trzeba rozumieć, przecież jestem żołnierzem, mam rozkaz – red.). Scena była wspaniała w swym komizmie.

Konflikty te rozstrzygano lokalnie w oparciu o dobrą wolę i zdrowy rozsądek, uwzględniając relatywną wartość obiektu sporu dla każdej ze stron.

W ogromie bieżących spraw wysuwały się jako najważniejsze: organizacja władzy, stabilizacja stosunków społecznych i sprawy miejscowej ludności. Na tej ludności ciążyły nadal tragiczne wojenne losy.

Ludność tych terenów została przez okupanta wpisana na listę „Stammdeutschen” [rdzennych Niemców – red.]. Pamiętano o tym; zapomniano natomiast, że działał tu ruch oporu, zwłaszcza wśród kolejarzy; że ludność zachowała swą polskość i nie było tu kolaboracji w takim stopniu, jak na innych przyłączonych do Reichu terenach. Cierpienia i ból nie opuściły tego kraju. Nie miał on w tych trudnych dla niego dniach obrońców.

Pamiętam przejmujący szloch kobiety wieczorem w pustym kościele św. Jana, do którego podczas jednego z wieczornych spacerów wstąpiłem. Była to beznadziejna skarga. Tych wszystkich, którym wojna odebrała najbliższych, ojczyznę, młodość.

Było to drugie w moim życiu pożegnanie z bronią. Tym razem rany ludzkości były cięższe, a rekonwalescencja bolesna.

Bez zwłoki przystąpiłem do wykonania swego zadania: do zorganizowania w województwie zjednoczonej PPS. W Bydgoszczy, zaraz po opuszczeniu miasta przez Niemców, powstał komitet PPS o prawicowym nastawieniu. Nie było tam zrozumienia dla samych zasad i programu partii, nie cieszył się on poparciem wielu robotników. Walka z nim byłaby bezowocna i szkodliwa dla partii. Właściwą drogą było zorganizowanie w Toruniu wojewódzkiego komitetu, licząc, że komitet bydgoski włączy się do nowej organizacji. Tak się też stało.

Pierwsze dni wolnej Polski na terenie województwa to zorganizowanie

administracji, komitetów partyjnych, rad wojewódzkich i powiatowych, uruchomienie transportu, zaopatrzenie ludności, otwieranie szkół, uruchamianie szpitali. Odbudowa wszystkiego, co wojna zniszczyła, a nadawało się do odbudowania. Był to okres gigantycznej, powszechnej pracy; można go nazwać bohaterskim. Potężny wybuch ofiarności, wysiłków, wyrzeczeń. Nie nadszedł jeszcze czas konfliktów, starć i sporów partyjnych.

Partie dzieliły między sobą odpowiedzialność na podstawie klucza przyjętego w czasie, gdy istniała między nimi równowaga. PPR organizowała przemysł i władze bezpieczeństwa; to dało jej dominację.

W pośpiechu popełniano błędy. Wynikały one często ze stosowania schematów i z doktrynerskich postaw. Pierwszymi działaczami Polski Ludowej byli ludzie ideowi i uczciwi, ale brak im było przygotowania i dalekowzroczności.

W pierwszych moich toruńskich dniach zapoznałem się z ludźmi, problemami i społeczeństwem województwa. Dużo rozmawiałem z mieszkańcami tych terenów, a także z tymi działaczami partii, którzy akceptowali jej obecne zasady i programy, a więc z tymi, którzy byli lub mogli być mi pomocni. Należał do nich tow. Dobrowolski, późniejszy prezydent Torunia, tow. Milewski, Kamiński i wielu innych. Także działacz terenowej konspiracji tow. Mirosław Szwalbe (Orłowiejski). Podstawowym zadaniem było omawianie z komitetami powiatowymi bieżących planów, zapewnienie im lokalów i warunków pracy.

Okres toruński trwał krótko. Po kilku tygodniach wypadło mi przystąpić do innej pracy; było to już w Bydgoszczy, dokąd w kwietniu przeniosło się województwo.

Na zakończenie parę słów wyjaśnienia, jak to się stało, że będąc dalekim od zainteresowań politycznych włączyłem się nagle i z całym zaangażowaniem w główny nurt polityki? Polityką zainteresowałem

się teoretycznie wtedy, gdy do władzy w Niemczech doszedł Hitler. Niewątpliwie głównym wrogiem partii i ruchu NSDAP był komunizm, realizowany w ZSRR. Wrogiem niemczyzny – państwa niemieckiego – była Polska, która rewindykowała ziemie włączone do Reichu. Należało spodziewać się, że przeciw Polsce zostanie skierowana hitlerowska agresja, a wobec tego w przyszłości współpraca z ZSRR nie byłaby wykluczona.

Obawy i wątpliwości moje podzielało kilku kolegów z terenu Uniwersytetu Warszawskiego; należeli do nich: Pański, Kalecki, Żebrowski, Płoski, Salcewicz, Żołądkowski z PPR (sekretarz partii w Zagłębiu), sporadycznie prof. Arnold i paru innych. Byli to przyszli uczeni i działacze w Polsce Ludowej. Niektórzy z nich pozostali bezpartyjnymi, inni wstąpili do partii.

Po agresji Hitlera na ZSRR nie było już dla mnie wątpliwości: Niemcy wojnę przegrają. Znałem dobrze naród rosyjski, ich język, usposobienie, mentalność; tam się wychowałem i miałem przyjaciół; w szeregach rosyjskich walczyłem z Niemcami w czasie I wojny. Wiedziałem już teraz, że musi nastąpić takie czy inne współdziałanie obu krajów. Wstąpiłem do RPPS; program jej uwzględniał zarówno tradycje narodu polskiego jak i sytuację krajów – Polski i ZSRR; uwzględniał konieczności, ale także możliwości, jakie otwierała przed nim klęska hitleryzmu.

Żyjąc długo [Autor pisze to w r. 1980, czyli mając 83 lata; dożył 98 lat – red.] bałem się, jak kiedyś Witkacy, że mógłbym się nie urodzić i nie poznać świata. Skoro się urodziłem – chcę żyć i cenię to, co najbardziej zdumiewa, a więc kosmos i twory umysłu ludzkiego. W tym właśnie były mi pomocne poezja i powieści; dodawały odwagi, świadczyły o wartości istnienia i chroniły od pustki wewnętrznej, która coraz częściej staje się udziałem ludzi współczesnych. □

MIECZYŚLAW JAKUBIEC

Ptaka przemalowywany

Zgadnij króliczku – tak spytałby zapewne Stefan Kisielewski – o kim i o czym będzie mowa? Wiadomo już po samym tytule felietonu, że pewnie o Jerzym Kosińskim i bulwersującym tekście Janusza Rudnickiego pt. *Fuck you Dżerzi!* (Gazeta Wyborcza z 12.10.2019 r.) o tymże Jerzym.

Pretekstem do opublikowania wymienionego materiału stała się informacja o zbliżającej się premierze filmu Vaclava Marhoul'a pt. *Malowany ptak* (*Nabarvene ptače*) na motywach powieści J. Kosińskiego. Premiera miała miejsce w Wenecji. Film został nagrodzony. Prawdopodobnie nie będzie rozpowszechniany w Polsce, poza projekcjami festiwalowymi. Wypada spytać dystrybutorów: dlaczego? W ogóle powodów można by znaleźć kilka: że drastyczny w formie, że czarno-biały, że piśmowskim szafarzom kultury nie w smak, że polski widz odczyta go na opak, że, że... itd. Janusz Rudnicki złapał więc temat w żagle i jak się okazało... popłynął.

Czytelnicy prasy codziennej zapewne natknęli się na jego artykuł, więc streszczać go nie ma sensu, ale za to reakcja i komentarze świata czytelniczego warte są choćby wybiórczego przytoczenia. Dość powiedzieć na wstępie, że dostało się, oj dostało, Gazecie Wyborczej; nawet od jej miłośników. I najbardziej powściągliwym publicyście puściły nerwy, choć najpierw byli zakłopotani i zdziwieni, że coś takiego można było napisać, potem „pojechali” po Rudnickim równo. Oczywiście „zatrzęsła” się cała niemal prasa oraz internetowi hejterzy (za i przeciw), ale zareagowała najszczerzej Gazeta Wyborcza. Zaczniemy od wydawcy wszystkich książek Kosińskiego, czyli od Roberta Ginalskiego, który tak pisze o sprawie: „Jedni Kosińskiego lubili jako człowieka, inni

niekoniecznie; jedni cenili jego piśmarstwo, inni wcale. Ja akurat... nie należałem do jego (JK) admiratorów. Kontrowersje wokół autora *Malowanego ptaka* znane są od lat”. I nieco dalej: „Dyskutować na te tematy można i należy. Byle uczciwie. Tymczasem... przede wszystkim (J. Rudnicki) powieliła to, co o Kosińskim pisała w *Czarnym ptasiorze* Joanna Siedlecka. Można wierzyć w każde jej słowo. Wszak tysiące ludzi wierzą Kaczyńskiemu bajdurzącemu o tym, że PiS jest ostoją wolności i tolerancji. Mamy (jeszcze) wolny kraj, a wiara to rzecz niezbadana. Mój sprzeciw budzi rzyg Rudnickiego – kopia nagonek na pisarzy znanych z czasów późnego Gomułki i z obecnych szczujni piśmowskich – oraz zamieszczenie go akurat na łamach „Wyborczej”. J. Rudnicki cytuje zdanie Głowackiego, że Kosiński „był wielkim mistyfikatorem”, uważa, że popełnił plagiat *Nikodem'a Dyzmy* pisząc książkę *Wystarczy być*. Ginalski określa te zarzuty jako ignoranckie, tłumacząc Rudnickiemu, co to rzeczywisty plagiat. Wręcz sądzi, że Rudnicki po prostu „rżnie głupa”. Na koniec Ginalski pisze: „Tekst Rudnickiego ocieka jadem i nienawiścią. Najlepszym jego zakończeniem powinno być zdanie: dobrze, że zdechł!” (vide: Gazeta Wyborcza z dnia 19-20.X.2019).

Daniel Passent (tym razem „Polityka” nr 43 z dn.23.X.2019) „konsumując” paszkwil Janusza Rudnickiego na Jerzego Kosińskiego, pisze: „Takiego świnstwa

dawno nie czytałem. Paszkwil, który nadaje się do „Gazety Polskiej”, ale nie do „Wyborczej”. Żadnej rzetelności, żadnej próby wytłumaczenia ogromnego sukcesu (60 mln sprzedanych książek), dwie kadencje jako prezes amerykańskiego PEN Clubu, znakomity mówca, często zapraszany do telewizji (słyszałem go nieraz, gdyż mieszkalem w USA). Kosiński był postacią kontrowersyjną, ale był pisarzem, który w pewnej chwili zawładnął wyobraźnią milionów i tego mu wszyscy zazdrościcy nie odbiorą. Rudnicki wrzucił Kosińskiego do kloaki i sam do niej wpadł.”

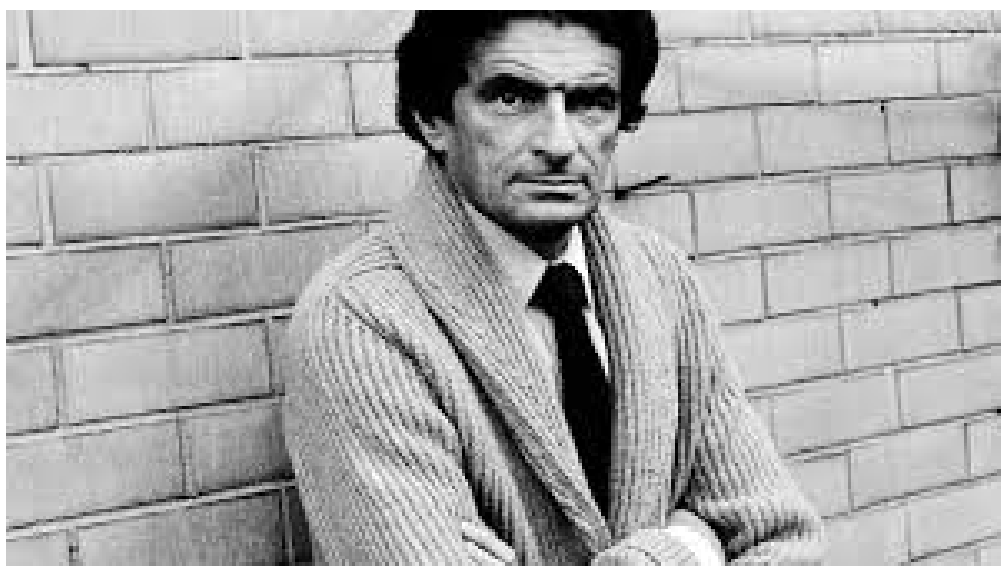
Anna Bikont (również GW z dnia 19.X.2019 r.) niemal wykrzykuje: „w mojej gazecie antysemicki tekst Janusza Rudnickiego! Rudnicki nie włożył żadnej pracy własnej w badanie źródeł, tylko dodał nieco podłości. Chłopiec, który wyłania się ze szmalcowniczego tekstu Rudnickiego, jest wypasionym skurwysynem, który najadł się kakao w czasie wojny, gdy polskie dzieci głodowały, a po wojnie zabrał się do pisania plagiatów i paszkwili. Zabił się jak wielu, którzy przeżyli Holocaust.”

Nawiązując do tekstu Anny Bikont, Marek Beylin (także GW z dnia 26.X.2019 r.) pisze, że są dziesiątki rzetelnych publikacji, według których największym zagrożeniem

dla ukrywających się Żydów byli ich polscy sąsiedzi i „polski inteligent nie ma prawa tego nie wiedzieć.” Nieco dalej: „Rudnickiego nacjonalistyczne ideologie nigdy nie zaczadzały. Odurza go raczej przymus skandalizowania. Jego tekst jest więzieniem logiki pamfletu.” Zdaniem Beylina Rudnicki demaskuje Kosińskiego, „hienę Holocaustu”, by bronić powagi Zagłady przed oszustwami i manipulacjami. Przecież Kosiński przedstawiając *Malowane go ptaka* jako opis własnych przeżyć oszukał czytelnika i to dla pokłasku.

Janusz Rudnicki na prośbę redakcji „Gazety Wyborczej” odniósł się do stawianych mu zarzutów. Napisał m.in.: „Wiele mam już lat, ale że dostanę jeszcze tę antysemicką, na to bym nie wpadł. Zakłęty krąg, napisać cokolwiek złego o pisarzu (człowieku) pochodzenia żydowskiego znaczy obrazić wszystkich pisarzy (ludzi) pochodzenia żydowskiego i dostać ryj antysemitów. Jeśli napisałbym coś złego o Biedroniu, byłbym homofobem?”

Prawda jak zwykle leży bliżej środka. W tym przypadku jest barwna, trochę sensacyjna, jej wersje mieszczą się w wielu opowieściach osób bliżej związanych z Kosińskim, np. we wspomnieniach Urszuli Dudziak, a najciekawiej w powieści



Jerzy Kosiński

Janusza Głowackiego *Good Night Dżerzi*. Tropem okupacyjnym rodziny Kosińskiego przewędrowała m.in. – wspomniana wcześniej – Joanna Siedlecka, demistyfikująca jego opowieści. Słowem miał Kosiński swoich przyjaciół, sympatyków, miał i wrogów, że nie wspomnę o antysemitach.

Wracając do Janusza Rudnickiego. Rzec by można, iż sam padł od własnej broni. Dobitnie i bezlitośnie, a nawet złośliwie, choć z humorem Krzysztof Varga nazwał działania pisarskie i publicystyczne Rudnickiego literackim zespołem Tourette’a. Napisał: „Janusz, ty... jeno biegasz po mieście w podejrzanym podniecie, gdzie można jakąś padlinę dopaść?” Geniusz Janusz R., rozprawił się z Jerzym K. na miarę wydarzenia sezonu czytelniczego, obok Nobla dla Olgi Tokarczuk, tylko głosy wybrzmiały nieprzychylnie. Varga zachęca Rudnickiego, by ten zamiast „dowalać” Kosińskiemu, a wcześniej Dąbrowskiej i Konopnickiej, wziął się np. za Pilcha, „bo on teraz słabowity”. I na koniec Varga dodał: „Wiem, Januszu, że wszyscy walczymy o nieśmiertelność, choćby najkrótszą, ale rzucenie pawia na pogrzebie nie zawsze jest oznaką nonkonformizmu.” (GW z 4.XI. br.) Pyszna puenta.

Nawiasem mówiąc, z tą „zaraźliwą” manierą pouczenia przyjaciół (?) po piórze,

ba, nawet strofowania za megalomanię (skądinąd słusznie), zetknęliśmy się ostatnio w felietonie Ludwika Stommy w stosunku do Tomasza Jastruna. Ten ostatni ze smutkiem odrzuca pomówienia, a swe słabostki uważa za uprawnione, widząc je również u adwersarza. No cóż, polemika *Jak narcyz z narcyzem*. Osobiście więcej racji przyznaję Stommie, choć zachował się w formie niezbyt elegancko. (*Przeгляд*: nry 48 i 49). □

P.s.

Przed wielu laty obejrzałem film reżyserii Hala Ashby pt. *Wystarczy być*. Za główną rolę Peter Sellers dostał nominację do Oscara, zaś statuetkę Oscara za najlepszą drugoplanową rolę w tym filmie otrzymał Melvyn Douglas. Był to rok 1979. Autora scenariusza, a zarazem autora zekranizowanego opowiadania wyróżniono w tym samym roku Złotym Globem. Był nim Jerzy Kosiński. Do dziś niektórzy (również Rudnicki) zarzucają mu spłagiatowanie *Kariery Nikodema Dyzmy* Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Zarzut wątpliwy, bo to historia jakich wiele w literaturze. Ciekaw jestem, czy ekranizacja *Ptaka malowanego* odniesie podobny sukces.



SANEK DOK?

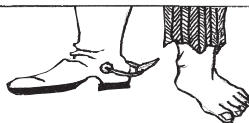
RIPOSTA

Znany polityk i premier, David Lloyd George przemawiał kiedyś na pewnym zebraniu, którego publiczność nie była mu przychylna. Na niemal każde jego słowo zewsząd padły okrzyki i grubiańskie docinki. W pewnej chwili wstała jakaś dama i zaczęła wygrażać poli-

tykowi:

- Gdyby pan był moim mężem, dałabym panu trucizny! – krzyknęła.

Gdyby pani była moją żoną, to pozwoliłbym się jak najszybciej otruć – spokojnie odpowiedział Lloyd George.



Klerykalizm i antyklerykalizm

Antyklerykalizm to postawa, zbiór poglądów krytykujących rolę i działania kleru lub rolę kościoła w społeczeństwie, szczególnie w systemie władzy. Antyklerykalizm zwykle nie kwestionuje kanonów wiary, lecz działanie kościoła instytucjonalnego lub (i) jego przedstawicieli. Pierwszy z tych sporów dotyczył relacji pomiędzy papieństwem a cesarstwem. Raz zwyciężał papież, a raz cesarstwo. Później do rywalizacji włączył się król Francji Filip IV zwany Pięknym, który zniewolił papieństwo w Awinionie. A także wstąpił się zniszczeniem słynnego zakonu Templariuszy.

Wiele lokalnych ruchów sprzeciwu wobec miejscowych biskupów miało właśnie antyklerykalny charakter. Można wyróżnić taki ludowy antyklerykalizm związany z feudalnym uciskiem oraz postawę – wewnątrz kościoła – krytyki władzy kościoła instytucjonalnego nad całokształtem spraw świeckich.

Antyklerykalny niewątpliwie charakter miało wystąpienie Marcina Lutera. Luter chciał odnowienia katolicyzmu, ale rozpoczął proces, który podzielił kościół. Skończyło się to reformacją, a tak naprawdę podziałem kościoła. Z kolei przyjęcie zasady „*cuius regio eius religio*” po Pokoju Augsburskim było powrotem do klerykalizmu. Tyle że nie było już jednego klerykalizmu, lecz wiele klerykalizmów.

Jednakże, jak się później okazało, to właśnie protestantyzm okazał się kolebką demokracji; choć nie stałoby się tak

zapewne, gdyby nie rewolucja angielska, czyli bunt przeciw monarchistycznemu absolutyzmowi. Bo przecież Król Anglii był władcą absolutnym królem i papieżem w jednym, choć tylko dla Anglików.

Współczesny antyklerykalizm ma swoje źródła w pismach jednego z ojców liberalizmu Johna Locke’a¹. Większość myślicieli Oświecenia była wierząca, aczkolwiek niekoniecznie byli oni katolikami. Kwestionowali rolę kościoła w życiu społecznym jako instytucji (współ) rządzącej. Choć uważał, że religia jest podstawą moralności, Locke był przekonany, że zbawienie człowieka jest sprawą, która powinna być rozstrzygana przez jednostkę w jej sumieniu, i że w tej materii pozytywne prawo ludzkie nie powinno narzucać żadnej regulacji, ponieważ prawo pozytywne nie dąży do czynienia ludzi dobrymi, lecz tylko zajmuje się tym, co wprost i bezpośrednio jest konieczne dla ochrony naturalnych uprawnień człowieka (dobra wspólnego).

Locke uważał, że z umowy społecznej należy wykluczyć ateistów, bo nie uznają moralności; a ta jego zdaniem nie istnieje poza religią. Z innych powodów uważał, że należy wykluczyć także katolików i muzułmanów, bo mają skłonności do fundamentalizmu, oraz zobowiązani są do lojalności wobec autorytetów spoza społeczności, w której żyją, czyli odpowiednio papieża i kalifa/sultana. Pisał o tym m.in. w *Liście o tolerancji*².

Z kolei Monteskiusz był już całkowicie sekularystą. Podobnie jak La Mettrie



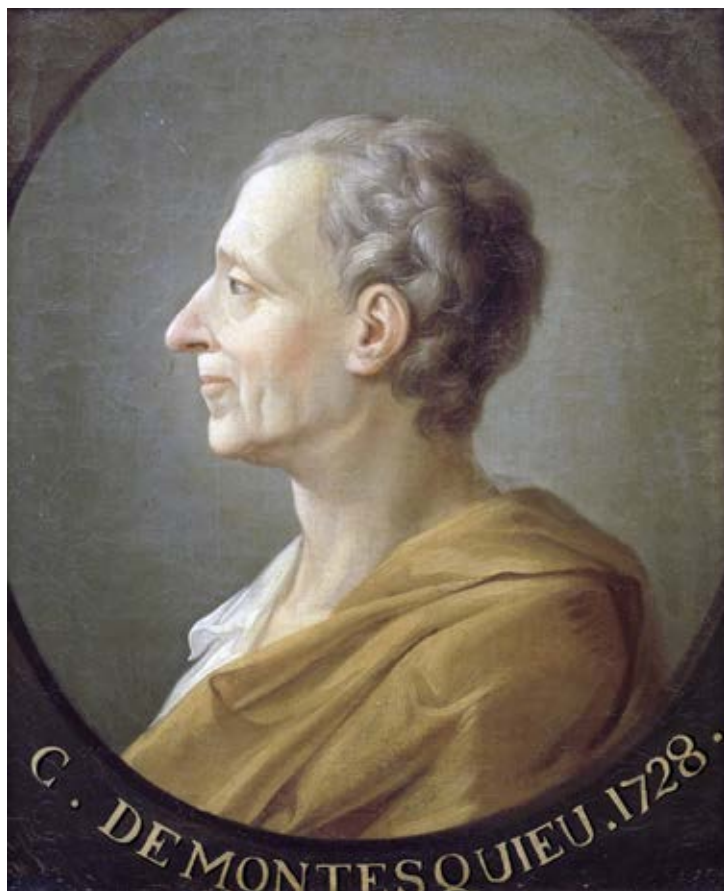
John Locke

czy Thomas Jefferson, autor tezy o murze separacji pomiędzy Państwem a religią. Pierwszą demokracją, która zrealizowała w praktyce idee Locke'a (oraz Monteskiusza), zostały Stany Zjednoczone Ameryki.

Emil Durkheim – jeden z ojców współczesnych nauk społecznych – uważał religię i moralność za fakty społeczne. Rozpatrując z tego punktu widzenia religię określał ją jako system wierzeń i praktyk obowiązujący w danym społeczeństwie i przez nie usankcjonowany. Tak pojętą religię interpretował jako wytwór świadomości zbiorowej. Kładąc główny nacisk na jej społeczną funkcję tworzenia, utrzymywania i wzmacniania solidarności w społeczeństwie,

rozszerzył znacznie zakres obiegowego pojęcia religii, włączając do niego wszelkie systemy wierzeń, różne pod względem treści od tradycyjnych wierzeń i praktyk religijnych, ale spełniające analogiczne funkcje społeczne. Podobnie jak religię Durkheim ujmował moralność jako wytwór świadomości zbiorowej i za właściwego twórcę moralności uznał społeczeństwo jako całość.

Antyklerykalizm rozumiany filozoficznie, a nie publicystycznie, wyrasta na gruncie negatywnej oceny historycznego i kulturowego dorobku zinstytucjonalizowanego chrześcijaństwa i jest nie tyle walką z religią, co obroną autonomii jednostki i pluralizmu przekonań. Towarzyszy sekularyzacji, np. przeciwstawia się



Monteskiusz

żądaniom przedstawicieli instytucji religijnych uprzywilejowanego statusu politycznego i publicznego dla nich, jak i ich dążeniom do wpływania na prawodawstwo publiczne i etykę obywatelską. U źródeł koncepcji sekularyzacji politycznej znajduje się antyklerykalizm, który przejawia się w dążeniu do zniesienia uprzywilejowanego statusu duchowieństwa na drodze marginalizacji instytucji religijnych².

Podstawowy problem, jaki kościół miał z demokracją liberalną, wynikał z koncepcji prawa naturalnego, jaką kościół katolicki miał w swojej doktrynie. Dopiero włączenie, – przynajmniej nominalne – do praw naturalnych praw człowieka (łącznie z wolnością słowa

i wyznania), umożliwiło dialog kościoła z demokracją. Stało się to przy udziale Jana XXIII i Soboru Watykańskiego II. Tyle że jego następcy, aż do Josepha Ratzingera włącznie, linii soboru raczej się nie trzymali.

Większość ateistów jest nie tyle antyklerykałami, ile sekularystami. To znaczy uważają, że wiara/religia powinny być sprawą prywatną, i argumenty religijne nie mogą być używane w debacie publicznej. Podobnie jak Locke, aczkolwiek nie podzielając jego przekonania, że religia jest źródłem moralności, raczej stojąc na stanowisku, że religia nie jest źródłem czegokolwiek. Dziś już wiemy, że moralność jest wytworem społecznym, a jej źródła są biologiczne.

Ateiści uważają, że w debacie publicznej mają prawo być używane jedynie interpretacje dobra wspólnego. Nawet jeśli nie są politycznymi liberałami, zgadzają się z nimi w tym, że w debacie publicznej nie jest dopuszczalne używanie argumentów religijnych.

Jednak zdarzają się agnostycy czy nawet ateści, którzy w swoich koncepcjach politycznych kierują się paternalizmem uznając, że nie da się kierować społeczeństwem bez używania religijnego przymusu. Ich koncepcje polityczne to różnego rodzaju oligarchizmy. Klasyycznym polskim przykładem jest Roman Dmowski, przedwojenna Sanacja, zwłaszcza po roku 1935, a współcześnie Jarosław Kaczyński.

Podporządkowanie kościołowi instytucjonalnemu jest wpisane poniekąd w kanon religijny. Tak zwane przykazania kościelne i prawo kanoniczne regulują zasady życia społecznego katolika. W zasadzie sama dyskusja o klerykalizmie jest antyklerykalna i w zasadzie dla katolika jest występkiem przeciw cnocie posłuszeństwa. Wyznania protestanckie są w tym względzie bardzo zdeokratyzowane i tam w zasadzie, współcześnie, antyklerykalizm nie występuje.

Sekularyzm jest podstawą współczesnej demokracji i nawet osoby wierzące, choć niekoniecznie wszyscy katolicy, z takim poglądem się zgadzają. Katolik nie bardzo może być antyklerykałem, a już na pewno nie sekularystą, bo to sprzeczne ze społeczną nauką kościoła. Z jego misyjnym zadaniem jako kościoła nauczającego. Nie jest to jednak część prawdy objawionej, lecz usankcjonowana praktyka społeczna, relikw feudalizmu. Bo kościół katolicki, a już na pewno polski, cały czas tkwi w feudalizmie.

Niestety refleksja Locke'a na temat katolików wydaje się nadal aktualna. Choć może nie w tym, że poddają się

autorytetowi papieża, lecz raczej w tym, że nadmiernie ulegają biskupom. Choć trudno uznać, że dziś istnieje jeden kościół katolicki, skoro w każdym niemal kraju sytuacja wygląda nieco inaczej. W Niemczech katolicyzm w swoim funkcjonowaniu zbyt się nie różni od wyznań protestanckich. Wierni współuczestniczą w debatach religijnych, interpretują wybory moralne; także współzarządzają majątkiem kościoła.

W Polsce mamy raczej osoby, które samodzielnie interpretują nakazy kościoła. Funkcjonują samodzielnie albo też tworzą wspólnoty. Czy to jest jakaś droga pośrednia? Programowo nie, bo normatywnie są oni poza kościołem. Sam kościół przyryka na nich oko, bo dają mu alibi do wykazywania popularności. Kościół uznaje przecież za katolików wszystkich ochrzczonych, bez względu na to, co oni sami o sobie myślą. Więc pośrednią drogą uwspółcześnienia i uzdrowienia polskiego kościoła byłaby jakaś formuła upodobnienia się katolicyzmu do protestantyzmu, co w jakimś stopniu odbyło się w kościele niemieckim czy francuskim, czy w Wielkiej Brytanii. Czy to możliwe w Polsce? Na razie daje się zauważyć pewien trend do konwersji wykształconych katolików na protestantyzm.

W historii było wielu księży antyklerykałów. Polskie Oświecenie to w dużej części dzieło księży, biskupów czy zakonników, lub wychowanków zakonów, takich jak Staszic, Krasicki, Kołłątaj, Konarski, Zabłocki. Dziś i w Polsce zdarzają się księża antyklerykalni, ale zwykle szybko łądują poza kościołem, który szybko się ich pozbywa.

Zresztą jeszcze nie tak dawno krakowski teatr KTO był oskarżany o obrazę uczuć religijnych w spektaklu na motywach *Monachomachii* Krasickiego (2016). Jeśli osiemnastowieczne teksty

biskupa Krasickiego obrażają dziś uczucia religijne, to chyba doskonale pokazuje, jak daleko od współczesności jest dzisiejszy katolicyzm polski.

Są tacy, którzy aktualnego papieża uważają za antyklerykała. Osobiście byłbym ostrożny w takich ocenach, bo przecież Bergoglio nie proponuje zmian strukturalnych w kościelnej hierarchii; raczej próbuje powrócić do wizji kościoła, która zaowocowała II Soborem Watykańskim. Franciszek wydaje się być za lekką modernizacją kościoła i reinterpretacją jego nauczania, aczkolwiek trudno prorokować, czy uda mu się odnieść sukces i w jakim zakresie. Nawiasem mówiąc, podobny pogląd wyraził na jego temat Tomasz Terlikowski³.

Jednak w polski katolicyzm trwale wpisany jest klerykalizm, którego przejawem jest koncepcja wyższości kościoła na prawem stanowiącym i instytucjami państwa. Dotyczy to w szczególności funkcjonariuszy kościoła; bez względu na to, czy tego prawa przestrzegają czy też nie. To utrudnia jakkolwiek racjonalną dyskusję o działalności kościoła, bo każda próba krytyki, uzasadnionej czy też nie, jest traktowana przez hierarchów jako atak na kościół. Polski kler chce, by jego działania były wyłączone z ludzkiej – a więc jakiegokolwiek – oceny. Zdecydowanie utrudnia działania zmierzające do wyeliminowania pedofilii wśród księży oraz do wymierzenia kary przestępcom, chroniącym się za autorytetem kościoła. To dotyczy zresztą nie tylko sprawców czynów pedofilnych, ale wszystkich łamiących prawo, którzy należą do grupy urzędników kościelnych. Klerykalizm wspiera opinię o tym, że kościół i jego funkcjonariusze stoją ponad prawem ludzkim

Dzisiejszy kościół w pełni korzysta z autorytetu władzy. Również

z przywilejów politycznych i w rewanżu wspiera polityków. To jest nie do pogodzenia z jakimkolwiek rozumieniem demokracji. Legenda kleru jako siły antykomunistycznej i prodemokratycznej narodziła się po stanie wojennym, gdy z jednej strony episkopat współpracował z władzą starając się uspokajać nastroje społeczne, z drugiej strony kontrolował pomoc materialną napływającą z Zachodu oraz starał się otaczać zarówno opieką, jak i kontrolą działaczy opozycyjnych. Dlatego m.in. został głównym negocjatorem w Magdalence. Pozwoliło mu to potem formułować roszczenia wobec nowej władzy po roku 1989 i bezwzględnie je egzekwować. W ten sposób wyładowaliśmy w sytuacji, gdy kościół polski tkwi w wieku XIX i ściąga kraj w przeszłość uniemożliwiając mu rozwój i modernizację.

Najnowszy kandydat na prezydenta, Szymon Hołownia, na pewno nie zyskałby zaufania Johna Locke'a. Zresztą podobnie jak jego rywal Andrzej Duda. Testu nie przeszłaby również Małgorzata Kidawa-Błońska. Zresztą niemal cała nasza klasa polityczna wydaje się być etapie przed Locke'm. A przecież od jego czasów minęło już 300 lat. To chyba starcza za komentarz. A książki Locke'a oczywiście trafiły zaraz po publikacji na Indeks Ksiąg Zakazanych kościoła katolickiego. Może dlatego polscy katolicy ich nie znają.

¹ Dorota Sepczyńska, *Katolicyzm a liberalizm*. Zakład Wydawniczy NOMOS, Kraków 2008

² John Locke, *List o tolerancji*, Wydawnictwo PWN 1963

³ Konrad Szocik, *Ateizm filozoficzny*. Zakład Wydawniczy NOMOS, Kraków 2014

⁴ Tomasz Terlikowski, *Franciszek i stare pomysły, które się nie sprawdziły*. Rzeczpospolita 29.11.2019 <https://www.rp.pl/Plus-Minus/311299986-Franciszek-i-stare-pomysly-ktore-sie-nie-sprawdzily.html>

W bieżącym numerze „Forum Myśli Wolnej prezentujemy fragment książki dra MARIANA TOPORKA „Teatr Krakowski w latach 1945 -1956. Oblicze ideowo – polityczne”.

Autor jest historykiem, dziennikarzem. Przez wiele lat parzył się pisaniem recenzji teatralnych. Zamiłowanie do sztuki scenicznej połączone z wykształceniem historycznym dało efekt w postaci niestandardowego spojrzenia na fenomen teatru.

Teatr zawsze związany był z polityką, z kręgiem władzy – nawet w epoce starożytności. Pomny na tę współzależność Autor przedstawia w swej publikacji wyniki swych żmudnych, niekiedy wymagających wielu wyrzeczeń badań naukowych.

Teatr polski 1945–1948. Tendencje ideowe i polityczne

Wydawać by się mogło, że w czasie okupacji hitlerowskiej, teatrowi polskiemu przetrącono jego kręgosłup ideowy. Że wymagać to będzie lat, aby zdołał się podnieść i nawiązać do dawnej świetności. Nic bardziej mylnego. W odrodzonej Polsce teatr jako pierwszy otworzył swoje podwoje. Wyprzedził przy tym inne dziedziny kultury: środowiska muzyczne, plastyczne, działalność wydawniczą oraz produkcję filmową.

Złożyło się na to wiele okoliczności. Po pierwsze środowisko teatralne w kraju wyzwolonym spod niemieckiej okupacji natychmiast przystąpiło, w większych miastach, do montowania zespołów teatralnych oraz organizowania teatrów. Był to niewątpliwie egzamin dojrzałości i prężności tych ludzi, których nie załamały ciężkie wojenne przeżycia. W Warszawie, na Pradze, zaczął działać teatr jeszcze przed wyzwoleniem lewobrzeżnej części stolicy. W wielu miastach teatry otwierali dawni, przedwojenni dyrektorzy: w Krakowie – Karol Frycz, Poznaniu – Stanisław Stoma, w Bydgoszczy – Aleksander Rodziewicz. Do Katowic przyjechał zespół ze Lwowa

pod kierownictwem Bronisława Dąbrowskiego, a do Torunia – teatr z Wilna.

Antynarodowa polityka okupanta przyniosła odwrotne rezultaty. Paroletnie odcięcie twórców i widzów od teatru spowodowało ożywczy ferment, pęd do odbudowy instytucji kulturalnych oraz warsztatów twórczych. Spotkało się to ze spontaniczną reakcją publiczności spragnionej polskiego słowa. W pejzażu zniszczonych i głodnych miast teatr był iskierką nadziei, oczekiwaną i potrzebną. Teatr też stał się swoistym miejscem odreagowania wojennej traumy. Tam sublimowały się postawy i doświadczenia minionego czasu. Widownia była spragniona kontaktu z własną spuścizną kulturową i nie ważne było czy to był wielki dramat, czy też błahe komedyjki Perzyńskiego czy Bałuckiego. Chodziło bardziej o zwrot ku normalności, obojętnie jaka ona była.

Już 21 lipca 1944 r. dekretem Krajowej Rady Narodowej powołany został Resort Kultury i Sztuki z Wincentym Rzymowskim na czele. 15 września tegoż roku wyszedł dekret PKWN o zasadach jego działania i organizacji, powołując w jego

ramach Wydział Teatralny, na którego czele stanął reżyser Teatru Polskiego w Warszawie – Karol Borowski. Następnie, 5 października, ukazało się rozporządzenie kierownika Resortu tworzące przy Urzędach Wojewódzkich – Wydziały Kultury i Sztuki, posiadające w swych składach referaty teatralne, upoważnione do nadzorowania i zakładania nowych scen.

W utworzonym 31 grudnia 1944 r. Rządzie Tymczasowym powstało Ministerstwo Kultury i Sztuki z Departamentem Teatru swej strukturze. Departament miał w gestii całokształt spraw związanych z teatrem, m.in. zatwierdzanie dyrekcji, repertuarów i budżetów scen zawodowych na podstawie wniosków władz samorządowych.

Pierwszym dyrektorem Departamentu Teatru został wybitny reżyser, budowniczy Teatru Polskiego w Warszawie – Arnold Szyfman, który obsadzał dyrekcje w ważniejszych miastach i przyznawał im środki finansowe. Jego następcą – Bronisław Wiczorkiewicz, w sezonie 1945/46 zwołał pierwszy zjazd pedagogów teatralnych, zorganizował sieć nowych placówek w Jeleniej Górze, Opolu, Gdańsku, Olsztynie, Gorzowie i Wrocławiu, oraz otworzył pierwszą scenę państwową w Warszawie – Teatr Polski.



Arnold Szyfman

Teatry powstawały na różnych zasadach:

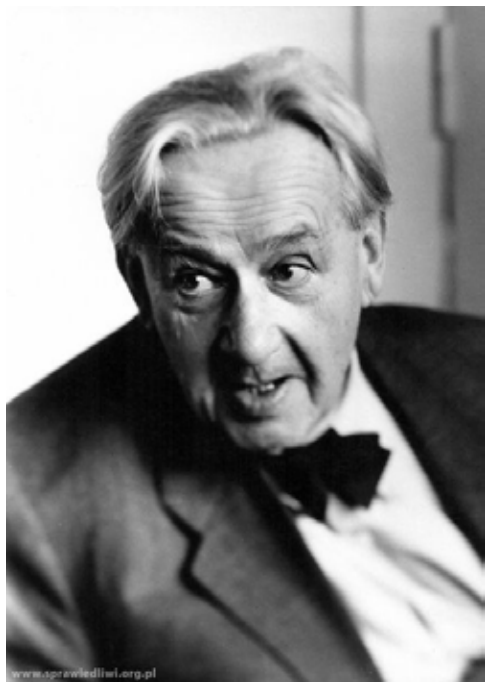
- jako jednostki subwencionowane przez miasta,
- jako instytucje międzyresortowe np. Teatr Wojska Polskiego powołany wspólnie przez Ministerstwem Kultury i Sztuki i Naczelne Dowództwo WP,
- jako instytucje wojewódzkie (np. w Białymstoku),
- jako organizacje społeczne (np. Teatr Kameralny Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego w Krakowie),
- jako zrzeszenia artystów (np. Teatr Syrena w Łodzi),
- jako instytucje prywatne, koncesjonowane (np. teatr Nowy Zbigniewa Szcherbowskiemu w Poznaniu)

Przez następne dwa lata na czele Departamentu Teatru stał pisarz Michał Rusinek z PPS.

Do jego poczynań należy zaliczyć:

- upaństwowienie czterech głównych scen w Poznaniu, Katowicach, Wrocławiu i Łodzi,
- powołanie Rady Teatralnej składającej się z wybitnych fachowców i znawców teatru. (Jej działalność niestety nie wyszła poza wystąpienia inauguracyjne),
- powołanie Komisji Repertuarowej, do której należało kwalifikowanie nowych pozycji repertuarowych,
- utworzenie Festiwalu Szekspirowskiego jako imprezy ogólnopolskiej, który dawał asumpt do wyzwalań twórczych ambicji i praktyki teatralnej w latach późniejszych.

Podstawowym problemem teatrów w pierwszych powojennych latach był brak kadry. Mocno przetrzebione przez wojnę wymagały gruntownej odbudowy, choćby ze względu na liczne, nowo powstające placówki teatralne. Dochodziło tu do zbędnego pośpiechu. Aktorów promowano już po paromiesięcznym przeszkoleniu i zdaniu egzaminu eksternistycznego. Nie



Aleksander Zelwerowicz

podnosiło to poziomu scen zawodowych i prowadziło często do konfliktów pomiędzy Ministerstwem Kultury a Związkiem Artystów Scen Polskich. Resort chciał jak najszybciej obsadzić nowe sceny, Związek protestował przeciw obniżaniu poziomu kwalifikacji zawodowych. Z reguły przy najważniejszych scenach powstawały studia, których adepci zasilali polskie sceny, czasem jeszcze podczas nauki. Ale powstawały też szkoły teatralne o wysokich ambicjach, nawiązujące do tradycji przedwojennego Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej.

Aleksander Zelwerowicz podjął się reaktywowania PIST-u, który już latem 1946 r. przekształcił się w Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Warszawie, z siedzibą w Łodzi. Obok dotychczasowych wydziałów aktorskiego i reżyserskiego powstały nowe: wydział dramaturgiczny kształcący fachowych kierowników literackich oraz studium scenografii, kurs operowy i kurs instruktorów scen niezawodowych.

Jej pierwszym rektorem został Leon Schiller. Samodzielne placówki teatralne – Państwowe Szkoły Aktorskie – powstały w Warszawie i Krakowie; szkoły i studia przy teatrach w Bydgoszczy, Gdyni, Katowicach, Lublinie i Poznaniu.

W 1948 r. Departament Teatru objął Stanisław Ryszard Dobrowolski. Natomiast pod kierownictwem Piotra Borowego powstał Departament Przedsiębiorstw Artystycznych i Rozrywkowych, który miał za cel upaństwowienie wszystkich scen zawodowych, dramatycznych i muzycznych. W pierwszych, powojennych miesiącach trudno jest natomiast mówić – przy stabilizacji teatrów w wielu miastach – o szczególnych wydarzeniach artystycznych, nawiązujących do wybitnych osiągnięć mistrzów okresu międzywojennego. Ale należy oceniać ten stan według taryfy wyjątkowej. Spektakle odbywały się w jako tako przysposobionych salach, niezadko nie opalanych lub pośpiesznie remontowanych. Za to publiczność była wyjątkowa, przygotowana do uroczystego przeżywania misterium teatralnego. Ważna była sama radość uczestniczenia w czymś normalnym a jednocześnie wyjątkowym. W takiej atmosferze nawet rzeczy znane i ograne nabierały innej siły oddziaływania i swoistego uroku, choć tylko niewiele z nich oznaczała się wybitnymi walorami scenicznymi. Grano np. *Męża doskonałego* Jerzego Zawieyskiego na scenie Starego Teatru w Krakowie, gdzie patos i biblijny dramat o Hiobie łączył się ze świeżym wspomnieniem Powstania Warszawskiego.

W Teatrze Wojska Polskiego pokazywano *Wesele* Wyspiańskiego i *Dożywocie* Fredry, kolejno prezentowane w Lublinie, Krakowie, Katowicach i Łodzi, z mocną, choć młodą obsadą. W Teatrze Słowackiego w Krakowie wystawiano *Żeromskiego* i *Fredrę*, gdzie popisowe role wybitnych artystów gwarantowały wysoki poziom i satysfakcję dla licznej widowni. W innych teatrach Krakowa różnorodność

repertuarowa prezentowana była według tradycyjnych zasad reżyserskich, lecz o zróżnicowanym poziomie, często przypadkowych sił aktorskich. Ale były to przecież dokonania niepełnego sezonu teatralnego 1944/1945, w pierwszych dniach wolności i odbudowy podstaw egzystencji ludzi okaleczonych przez wojnę.

Następny sezon 1945/1946 przyniósł nowe wydarzenia teatralne i postępującą normalizację życia kulturalnego. Odbudowywano budynki teatralne i modernizowano nowe, a życie zawodowe artystów zaczęło się układać w oparciu o działalność ZASP-u, kierowanego przez Dobiesława Damięckiego. Środowisko Aktorskie przeszło okres powojennej weryfikacji. W stosunku do wielu artystów, którzy występowali na terenie Generalnego Gubernatorstwa wyciągnięto stosowne konsekwencje, ale oczyściło to atmosferę w środowisku.

Ciekawie kształtowała się geografia teatralna. Szybko rozwijały się teatry w całym kraju, szczególnie nowe sceny na Ziemiach Zachodnich. Nowa sytuacja Warszawy, spowodowana jej ogromnym zniszczeniem spowodowała, że niespodziewanie stolicą teatralną stała się Łódź. Posiadała ona trzy sceny dramatyczne: Teatr Wojska Polskiego i Powszechny pod dyrekcją Leona Schillera oraz Kameralny pod dyrekcją Michała Meliny. Oprócz tego działał Teatr Syrena poświęcony lekkiej muzyce. Odbywały się tam premiery, które zyskiwały ogólnopolski rozgłos.

Wysoką pozycję utrzymywały sceny krakowskie, które działały w licznych środowiskach twórczym, dając znaczące premiery, w znakomitym wykonaniu. W Krakowie działały Teatr im. Juliusza Słowackiego i nowo powstały Teatr Stary pod wspólną dyrekcją Karola Frycza i Zbigniewa Pronaszki (potem Juliusza Osterwy i Władysława Woźnika), Teatr Domu Żołnierza pod dyrekcją Karola Adwentowicza, Teatr Kameralny Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego Emila Chaberskiego,



Karol Frycz

Teatr Rapsodyczny Mieczysława Kotłarczyka, Groteska Władysława Jaremy, dająca spektakle lalkowe dla dorosłych i Wesoła Gromadka Marii Billizanki, specjalizująca się w przedstawieniach dla dzieci i młodzieży. Z teatrów prowincjonalnych wyróżniały się Toruń i Gdańsk. Ambicje wielkomiejskie miał teatr w Katowicach, który był „nowym teatrem” przeniesionym ze Lwowa pod dyrekcją Bronisława Dąbrowskiego a później Władysława



Zbigniew Pronaszko



Juliusz Osterwa



Karol Frycz

Krasnowieckiego. Solidną produkcją wyróżniały się teatry w Poznaniu, Bydgoszczy i Rzeszowie. Budowały swą pozycję sceny w Bielsku-Białej (*Poskromienie złoŃnicy* na Festiwalu Szekspirowskim), w Olsztynie (*Fantazy* w reżyserii Janusza Strachockiego), Kielcach i Kaliszu. Pionierski okres przechodziły placówki na Ziemiach Odzyskanych: we Wrocławiu, Szczecinie, Opolu, Jeleniej Górze i Świdnicy, które walczyły raczej o przetrwanie niż o poziom artystyczny. Krótkotrwały okres działalności miały sceny w Koszalinie, Słupsku, Elku, Legnicy i Gorzowie.

Jak twierdzą znawcy teatru, życie kulturalne tego okresu rozwijało się w wielu miastach „kosztem” zburzonej i wyludnionej stolicy. Mieścił się w niej jedynie Teatr Powszechny na Kaminku oraz reprezentacyjny Teatr Polski przy ulicy Karasia. Inne sceny od początku borykały się z trudnościami funkcjonowania w zniszczonym mieście.

W Warszawie działały: Teatr Rozmaitości kierowany przez Dobiesława

Damięckiego i Klasyczny – Marii Górczyńskiej oraz Miejskie Teatry Dramatyczne – kombinat pięciu scen, pod dyrekcją Eugeniusza Poredy i kierownictwem literackim Aleksandra Maliszewskiego. Ich dokonania nie zapisały się niczym szczególnym w tym okresie. Zresztą wszystkie sceny dotykała jedna zasadnicza choroba: mało ambitny zestaw repertuaru.

Repertuar ówczesnych teatrów wyglądał rzeczywiście nijako. Pełen był wyborów przypadkowych, sztuk nietrafionych lub był oparty na realizowaniu zleceń „czynników społeczno-politycznych”. Prezentowane sztuki można podzielić na kilka grup.

W ogromnej mierze wystawiano pozycje retrospektywne, najczęściej komedie obyczajowe, krytykujące mieszczaństwo. Zapolska, Perzyński, Bałucki i Bliźniński byli pisarzami najbezpieczniejszymi do wystawiania. Publiczność dawno się do nich przyzwyczała a w nowej rzeczywistości stawały się „społecznie postępowymi”. Łatwiej można było się legitymować przed władzą z takiego właśnie wyboru.

Dramat romantyczny dawковано oszczędnie. Słowacki prezentowany był tylko przez *Balladynę*, *Fantazego*, *Mazepę*, *Marię Stuart* i *Kordiana*, Mickiewicz poprzez *Dziady*, ze sztuk Wyspiańskiego wystawiano najczęściej *Wesele*, ale już rzadziej *Warszawiankę* i *Kłótwę*. Zabrakło trzeciego wieszacza, czyli Zygmunta Krasińskiego, którego *Nie-boską komedię* uznano za reakcyjną, a utwory Norwida grano niejako pokątnie, w małych teatrach. „Postępowym” określano za to Żeromskiego, szczególnie jego *Przezióreczkę*. Tylko raz wystawiono *Różę*. Chętnie przypomniano Fredrę (*Śluby panięskie*, *Damy i huzary*, *Zemstę* i *Pana Jowialskiego*) oraz Bogusławskiego (*Cud mniemany*, czyli *Krakowiacy i Górale*).

Z dramaturgów dwudziestolecia międzywojennego pojawiali się: Rostworowski, Szaniawski, Pawlikowska-Jasnorzewska, Nałkowska, Winawer i Cwojdzński, ale szybko znikali z afisza w miarę upływu czasu.

Wśród klasyków obcych prym wiodli Anglicy: Szekspir, Dickens i George Bernard Shaw, ale zestaw ich utworów był mocno ograniczony. Szekspira grano najczęściej w ramach Festiwalu Szekspirowskiego, ale ograniczano się jedynie do dziewięciu pozycji, bez *Króla Leara*, *Makbeta* i *Juliusza Cezara*. Za to niewątpliwymi sukces odniosły cztery sztuki: *Major Barbara* Shawa, *Pan Inspektor przyszedł* Priestleya, *Seans* Cowarda oraz *Człowiek, który był Czwartkiem* Chestertona. Ich wydźwięk na pograniczu dramatu społecznego i teatru sensacji spowodował, że stały się wydarzeniami repertuarowymi.

Licznie reprezentowani byli Francuzi, przede wszystkim Moliere, Beaumarchais, i Musset, rzadziej Marivaux. Oprócz *Świętoszka*, *Szelmostw Skapena*, *Cyda*, prym wiodły modne, przedwojenne wodewile i krotchwile (*Roxy*, *Pani prezesowa*, *Dni bez kłamstwa*, *Słomkowy kapelusz*) Względami cieszyli się: Fedor, Benedetti,

Nicodemi i Vernouil, dziś kompletnie nieznani.

Ważnym wydarzeniem było wprowadzenie na polską scenę mało znanej dramaturgii hiszpańskiej. Z wielkim powodzeniem grano w Krakowie *Owczę źródło* Lope de Vega i *Krwawe gody* Garcii Lorcki, *Życie snem* Calderona w Toruniu, *Celestynę* Rojas w Łodzi. Tę ostatnią po raz pierwszy w Polsce.

Nienajlepiej było z klasyką rosyjską. Prapremiery tej dramaturgii można było policzyć na palcach. Doskonałą obsadę mieli *Rosjanie* Simonowa i *Mieszczanie* Gorkiego w Krakowie. Poważniejszy repertuar radziecki prezentowały przede wszystkim sceny: katowicka i łódzka. Grano tam *Zagadnienia rosyjskie* Simonowa, *Niespokojną starość* Rachmanowa, *Wyspę pokoju* Pietrowa. Starannie przygotowano spektakle poetyckie: *Pugaczow* Jesienina w Toruniu i *Dobrze* Majakowskiego w Katowicach. Tam też wystawiono *Jegora Bułyczowa i innych* Gorkiego. Była to najlepsza premiera sztuki radzieckiej w tym czasie, co z dumą prezentowano gościnnie w Warszawie. Rzadko, wbrew temu, co mogło się wydawać, prezentowany był Czechow. Jedynie *Wiśniowy sad* wystawił Iwo Gall w Teatrze Wybrzeże, natomiast Teatr Rapsodyczny Kotlarczyka z powodzeniem grał *Eugeniusza Oniegina* – Puszkina.

Nieco lepiej działało się w prezentacji współczesnego repertuaru światowego. Zaslugami podzieliły się pomiędzy siebie: Stary Teatr z Krakowa, grający nowości przede wszystkim sztuki francuskie (Anouilh, Peyret-Chappuis) oraz sceny w Łodzi i Warszawie. Prezentowano tam z powodzeniem nieznanymi dotychczas autorów: Sartre’a, Drdę, Millera a z anglosasów: Williama, Rattigana oraz Andersona. Natomiast tryumfalnie, choć z dużym opóźnieniem, wkroczył na sceny polskie Giraudoux. Z wielkim aplauzem przyjęto premiery: *Elektry*, *Wariatki z Chailot* i *Amfitriona* 38. Tu i ówdzie pojawiały

się pojedyncze sztuki Hallmana, Bernarda i Eftimiu. Duże zainteresowanie wzbudziły premiery Salacrou: *Noce gniewu* i *Archipelag Lenoir*. Wobec szczupłości repertuaru klasycznego i niewielkiej oferty współczesnych sztuk zagranicznych oczy widzowi zwrócone były z konieczności ku współczesnym autorom polskim. Po nich spodziewano się odpowiedzi na trudne pytania w nowej, zmieniającej się rzeczywistości społeczno-politycznej, pobudzania do myślenia i kontestacji minionych, wojennych przeżyć.

Jednym z cykli tematycznych były oczywiście sztuki poświęcone wojnie i okupacji. Z reguły nie były to sztuki wybitne ani nawet dobre; *Trasy* Kazimierza Barnasia, o polskich lotnikach w Anglii, *Stary dzwon* Jana Brzozy, sławiący bohaterstwo powstańców, *Droga do świtu* Bohdana Peplowskiego, *Strzały na ulicy Długiej* Anny Świrszczyńskiej, *Komedia* Andrzeja Wydrzyńskiego, poprzez bardziej ambitną *Wielkanoc* Stefana Otwinowskiego i *Starą cegielnię* Jarosława Iwaszkiewicza. Tematyki powrotu z obozów, emigracji i konfrontacji z nową rzeczywistością dotyczyły: *Kobieta we mgle* Michała Rusinka, *Weryfikacja* Ireny Ładosiówny, *Powroty* Marii Mrozowicz-Szczepkowskiej, czy też *Spotkanie po wojnie* Ewy Bonackiej.

Próbowano też ukazać przeżycia wojenne w konwencji komediowej. O ile jeszcze *Zamach* Tadeusza Brezy i Stanisława Dygata łączył dowcip z sentymentem na odpowiednim poziomie, to *Wanda nie chce Niemca* Magdaleny Samozwaniec i jej podobne szybko schodziły z afisza. Pojawiały się też komedyjki wyśmiewające sprawy drobnego kalibru, jak *Tanie książeczki* Ludwika Hieronima Morstina, *Moja żona Penelopa* Zdzisława Gozdawy i Wacława Stępnia, *Plecy* Jerzego Jurandota, ale również ich sceniczny żywot nie był długi.

Nieco bardziej serio traktowały rzeczywistość utrzymane w stylu przedwojennej

„francuskiej elegancji”: *Orfeusz* Anny Świrszczyńskiej, *Odys u Feaków* Stefana Flukowskiego, *Noe i jego menażeria* Tadeusza Łomnickiego, *Homer i Orchidea* Tadeusza Gajcego. Ale one też nie za długo utrzymywały się na scenie.

Masowo pojawiał się dramat historyczny, poruszający problemy niepokoju sumienia, aspiracje moralne i intelektualne. *Promieniści* Krystyny Grzybowskiej, *We sełe pani du Barry* Adama Grzymały-Siedleckiego, *Zakon krzyżowy* Ludwika Hieronima Morstina, *I ty poznasz Marylę* Janusza T. Dybowskiego, prezentowały ten gatunek. Były też inne warte zauważenia jak *Noc narodowa* czy *Powrót syna marnotrawnego* Romana Brandstaettera.

Lecz oczywistym znakiem czasu było pojawienie się sztuk o charakterze czysto politycznym, świadomie agitacyjnych, mających za zadanie niedwuznacznie wyrażać treści „zwycięskiej ideologii”. Nie przywiązywano w nich wiele wagi do rangi artystycznej, były raczej „reportażem ideologicznym”. Należy wymienić *Wiosnę 1944* Flory Bieńkowskiej, *Odwety* Leona Kruczkowskiego, *Stary dworek* Adama Ważyka, *Inżyniera Sabę* Juliusza Wirskiego, czy też *Dom pod Oświęcimiem* Tadeusza Hołuja. *Odwety* przedstawiały klasyczny dylemat



Tadeusz Hołuj



Leon Kruczkowski

postaw bojowców z lewa i prawa, inne ukazywały problemy światopoglądowe, ale w głębszej tonacji ideowej. Utwory te zajmowały ważne miejsce w teatrze i były zwiastunem nowokreującej się rzeczywistości politycznej.

Oprócz nich funkcjonowały dzieła o niewątpliwie wysokim poziomie, ale pisane z innej pozycji ideowej. Należały do nich *Dwa teatry* Szaniawskiego, *Rozdroże miłości* i *Ocalenie Jakuba Zawieyskiego*, podejmujące m.in. próbę rozrachunków politycznych z pozycji filozofii katolickiej.

Dramaturgii współczesnej nie było wcale mało. W latach 1944-1948 odbyło się prawie sto prapremier polskich sztuk współczesnych. Ale niewiele z nich wracało, choćby sporadycznie, na polską scenę w następnych latach.

Repertuar teatrów polskich, pierwszych, powojennych lat nie był jedyną zachętą do odwiedzania przybytków Melpomeny. Znacznie większą rolę odgrywali sami twórcy oraz waga ich dokonań

scenicznych. Wiele zależało od twórczości scenografów i muzyków, ale najwięcej od kreacji aktorskich.

Niekwestionowaną osobowością numer jeden tego czasu był Leon Schiller. Po powrocie z obozu w 1945 r. był w pełni sił twórczych. W ciągu następnych trzech lat dał siedem premier, z których co najmniej trzy przeszły do historii teatru polskiego. Była to kontynuacja rozpoczętego jeszcze w okresie międzywojennym stylu wielkich widowisk monumentalnych, cyklu misteryjno-obrzędowego i komedii ludowych, wystawianych w stylu neorealizmu.

Schiller potrafił w każdej inscenizacji wydobyć to wszystko, co współczesne, najbardziej istotne i potrzebne. W *Celestynie* Rojasa przedstawiał moralne okrucieństwo ludzi i wpływ wydarzeń na los jednostki. *Krakowiaczy* i *Górale* Bogusławskiego oraz *Igraszki z diablem* Drdy porzywały tańcem, ludowością, a jednocześnie zdyscyplinowaniem formalnym. Rozkosz z takiego obcowania ze sztuką czerpał i wyrafinowany esteta i zwykły widz.



Jerzy Szaniawski



Leon Schiller

Przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych to nieoczekiwany koniec kariery Schillera. W 1949 r. był dyrektorem najbardziej prestiżowej sceny – Teatru Polskiego w Warszawie i jednocześnie rektorem warszawskiej PWST. Starał się podporządkować aktualnej linii ideologicznej. Należał do PPR i PZPR. „Szedł na różne kompromisy, ale był artystą zbyt dużego formatu by mógł się zmieścić w ciasnych ramach stalinowskiej polityki kulturalnej [...], usiłował pogodzić swe skłonności religijno-mistyczne z żarliwą lewicowością, a przy tym, mimo głębokiej mądrości i imponującej wiedzy, często okazywał w sprawach politycznych, jak uważali niektórzy, »dziecięcą prawie naiwność«”.

Ataki na Schillera nasilały się systematycznie w 1950 r. Zwolniono go ze stanowiska rektora a następnie dyrektora Teatru Polskiego. Mówił o tym z goryczą myśląc o swej przynależności partyjnej: „Myśmy upaństwowili fabryki i kopalnie, myśmy

rozdali ziemię chłopom, myśmy mnie z teatru wyrzucili”. Od tej pory do swej śmierci w 1954 r. reżyserował dorywczo. Było to klasyczne „wykończenie” człowieka ideowego przez tryby stalinizmu. Jak mówiono, Schillera zniszczył XX wiek – *Mój wiek* Wata, „wilczy wiek”. Gordon Craig określał dokonania Schillera jako „zjawisko europejskie i światowe”.

Ale dzieło Schillera z powodzeniem kontynuowali jego wychowankowie z przedwojennego PIST-u, tworząc spektakle niezapomniane, m.in. Aleksander Bardini, Erwin Axer, Jerzy Kreczmar, Kazimierz Rudzki, Marian Wyrzykowski i Józef Wyszomirski.

Najaktywniejszym z nich był Erwin Axer z Teatru Kameralnego w Łodzi. Przedwojenny realizm i neorealizm przekładał na finezyjne przedstawienia dramatów współczesnych: *Major Barbarę* Shawa, *Szklaną menażerię* Williamsa, *Ladacznicę z zasadami* Sartre’a, oraz *Joannę z Lotaryngii* Andersona.

Do czołowych reżyserów tego czasu aspirowało wielu twórców. Jednym z nich był Wilam Horzyca, którego dokonania toruńskie wywindowały poziom tego teatru na wyżyny krajowe. Jego wizytówką był subtelny i konsekwentnie pielęgnowany repertuar literacki, nie stroniący od metafizyki (*Romeo i Julia* Szekspira, *Życie snem* Calderona, *Magia* Chestertona).

W Łodzi sukcesy odnosił Edmund Wierciński (*Elektra* Giraudoux). W Krakowie wystawił *Orfeusza* Świrszczyńskiej, w Katowicach *Dwa teatry* Szaniawskiego, a *Cyda* i *Fantazego* w Teatrze Polskim w Warszawie.

Iwo Gall zachwycał „malarskością” swoich inscenizacji. Jako plastyk miał świetne wyczucie sceny, zbierał w jedno: interesującą literaturę i własną malarską wizję sztuki (*Homer i Orchidea* Gajcego, *Żeglarz* Szaniawskiego, *Jak wam się podoba* Szekspira, *Wesele* Wyspiańskiego, *Wiśniowy sad* Czechowa, *Pan Jowialski* Fredry).

Bohdan Korzeniowski zasłynął dwoma przedstawieniami: *Szkołą żon* Moliera w Łodzi i *Amfitrionem* 38 Giraudoux w krakowskim Teatrze Starym. Powstało w ogóle wiele przedstawień wybitnych. Karol Borowski zbierał świetne recenzje za *Wilki i owce* Ostrowskiego w Teatrze Polskim w Warszawie, Arnold Szyfman za *Hamleta* i *Oresteję*, Emil Chaberski za *Skiz Zapolskiej* i *Wariatkę z Chaillot* Giraudoux, Janusz Warnecki za *Powrót syna marnotrawnego* Brandstaettera, Osterwa za *Fantazego* w Krakowie, Bronisław Dąbrowski za *Wieczór trzech króli* Szekspira i *Owce źródło* Lope de Vega w Krakowie oraz *Jegora Bułyczowa* Gorkiego w Katowicach.

Przedstawieniom towarzyszyły wybitne prace scenograficzne: Andrzeja Pronaszki (*Dwa teatry* Szaniawskiego), Andrzeja Daszewskiego (*Krakowiaczy i Górale*), Otto Axera (*Igraszki z diabłem*), Karola Frycza (*Powrót syna marnotrawnego*). Z młodszego pokolenia wyróżniali się: Tadeusz Kantor, Jan Kosiński, Andrzej Stopka i Zenobiusz Strzelecki.

Teatr tego czasu zaznaczył się wybitnymi kreacjami aktorskimi. Wykonania Solskiego, Osterwy, Adwentowicza, Leszczyńskiego czy Ćwiklińskiej stawały się wydarzeniami artystycznymi. Maria Dulemba zagrała niesamowitą *Wariatkę z Chaillot*, Aleksander Zelwerowicz znakomicie wypadł w kreacjach fredrowskich (*Pan Jowialski*), Józef Węgrzyn wcielił się wspaniale w role Don Juana, Edypa i Gustawa-Konrada. W repertuarze komediowym błyszczeli: Mieczysława Ćwiklińska (*Podstolina w Zemście*), Jerzy Leszczyński (*Cześnik i Papkin w Zemście*), Antoni Fertner (*Chory z urojenia* Moliera i *Romans z wodewilu* Krumłowskiego).

Grupa tych wspaniałych aktorów-aktorów nie przekraczała dwudziestu osób. Równie szybko robili kariery zawodowe, odnosząc sukcesy: Zofia Małynicz, Nina Andrycz, Elżbieta Barszczewska,

Seweryna Broniszówna, Janina Romanówna, Zofia Rysiówna, Zofia Jaroszevska, Barbara Ludwizanka, Jadwiga Chojnacka, Jan Kreczmar, Mieczysław Milecki, Józef Karbowski, Tadeusz Burnatowicz, Władysław Woźnik, Tadeusz Białoszczyński, Zdzisław Mrożewski, Jacek Woszczerowicz, Jan Świdorski, Jan Ciecierski i Józef Kondrat.

Na podbój teatru ruszyła artystyczna młodzież i to w sposób dający znać o sobie. Wspaniale debiutowali: Adam Hanuszkiewicz, Ignacy Machowski, Wienczyśław Glišński, Danuta Michałowska, Czesław Wołłejko, Gustaw Holoubek, Halina Mikołajska, Aleksandra Ślaska, Zofia Mrozowska, Andrzej Łapicki, Andrzej Szczepkowski i Ludwik Benoit.

Taka plejada znanych gwiazd oraz pojawiające się nowe spowodowały, że teatr polski nie zszedł z drogi na wyżyny świetności. Ale też nie w pełni mógł przełamać bariery ideologicznej nowej rzeczywistości. Nie zawsze dawał pełne świadectwo prawdzie i ustosunkowywał się do bieżących wydarzeń. Ale też nie miał ani takiego obowiązku, ani warunków. Zarzucano mu się spiżowy patos i deklamacyjność w repertuarze klasycznym oraz psychologizm starej daty wywodzący się z tradycji modernistycznych, epatowanie staroświeckim kuglarstwem i opowiadanie starych dowcipów. Wiele w tym prawdy. Teatr nie do końca zaspakajał gusty tłumnie przybywającej publiczności. W tej praktyce nie dokonał rewolucji i nie nadał za przemianami. W wielu przypadkach dokonywał fałszywej oceny rzeczywistości, stosując nieprawdziwe przesłanki ideologiczne. Naiwnością byłoby jednak oskarżać teatr o to wszystko, co działo się w sferze kultury, w pierwszych latach Polski Ludowej. Przyczyny wielu zjawisk tkwiły znacznie głębiej a może gdzie indziej. Kolejny okres w dziejach teatru polskiego, lata 1949-1956, miał diametralnie zmienić jego oblicze i to wcale nie na lepsze. □

ANDRZEJ DRAGAN

Kwantechizm czyli klatka na ludzi

Oficyna „Fabuła Fraza” wypuściła ostatnio książeczkę popularno-naukową, której już sam tytuł i jego forma graficzna na okładce zapowiadają coś skandalicznego; zarówno ze względu na nieprzystojne skojarzenie teorii kwantów (ze splątaniem kwantowym włącznie) z katechizmem (wiadomo jakim, skoro Autor jest Polakiem, a do tego niewieźcą), jak i jednego z drugim z klatką na ludzi.

W rzeczy samej mamy w tym przypadku do czynienia nie tyle z filuternym co z frywolnym wręcz podejściem Piszącego do przepowazanych spraw, takich jak np. superpozycja kwantowa cząstek czy... wiara; a do tego nader często z aluzjami – można rzec – rubasznymi (często używa zwrotu „naga mała” w odniesieniu do... łatwo zgadnąć, do kogo. Dzięki temu jednak książeczkę czyta się lekko, nawet jeżeli się nie ma fizyczno-matematycznego wykształcenia (za wyjątkiem paru miejsc dla laika trochę trudniejszych); i z satysfakcją, że jednak coś z tego tajemniczego świata bozonów i kwarków rozumiemy. A o to przecież chodzi w popularyzowaniu nauki, żeby i „laikat” coś niecoś „kapował” – że użyję języka Autora, bo ta maniera się udziela) – czyli pojął (lub: ogarnął w swym pojęciu).

Prof. Andrzej Dragan nie szczędzi też czytelnikowi zarówno „wycieczek”

osobistych, czyli opowieści o swoich przygodach po drodze do najpoważniejszych ośrodków badawczych współczesnego świata fizyki, jak refleksji najwybitniejszych uczonych nowożytnych (Kartezjusza, Newtona, Darwina, Einsteina, Feynmana i wielu innych); z reguły ciętych i dających do myślenia, nierzadko dowcipnych.

Użyłem we wprowadzeniu określenia *książeczka*, chociaż recenzowana tutaj praca liczy nominalnie – ze „słownikiem fizyczno-polskim” włącznie – 278 stron. Dlaczego więc książeczka? Otóż dlatego, że zawiera ona dużo „światła”: 15 kawałków przedzielonych pustymi stronicami, dość szerokie marginesy itp. Te jasne połączenia dają czytelnikowi pole do snucia własnej refleksji lub czas na zastanowienie się bądź przetrwanie poszczególnych kwestii. Takich jak np. relacja między intuicją potoczną a eksperymentem naukowym. Oto jeden z przykładów, mianowicie zagadka: jaką grubość osiągnie kartka o grubości 0,1 mm po jej pięćdziesięciokrotnym złożeniu na pół (odpowiednio dużych rozmiarów...)?

Świetnie też się czytają cytaty wspomnianych ogólnie twórców nauki nowożytnej oraz mistrzów samego Autora. Nie omieszkał On również podzielić się z czytelnikami swoimi uwagami na temat dobrych i niezupełnie dobrych aspektów i następstw ewolucji życia na Ziemi, oraz co do możliwości samorozwoju sztucznej inteligencji. Ale – w związku z tą możliwością – stwierdza, że dla niego „jest dalekie od oczywistości [mniehanie – JK], że istnieje związek logiczny pomiędzy istnieniem inteligencji a istnieniem świadomości” (s. 265).

Józef Kabaj

ROGER TETSU (12.07.1913 – 2.02.2008)

znany był przede wszystkim z prac wykonywanych dla tygodników: „Paris Match”, „France Dimanche”, „Le Figaro Magazine”.



JÓZEF KABAJ

Dwa gatunki

Obserwując świat od dość dawna – dostatecznie długo, by coś spostrzec – dochodzę do przeświadczenia, że są dwa gatunki ludzi (oczywiście wedle określonego – przyjętego przeze mnie pod kulturową presją – kryterium, co się zaraz pokaże: lepszy/gorszy).

Jeden z tych gatunków reprezentują ci, którzy podążają za tymi ludźmi, których uważają za lepszych od siebie; tzn. na nich się wzorują (ze skutkiem lepszym lub gorszym). W anglosaskim kręgu ujmuje się tę postawę łacińskim sformułowaniem *semper in altum* (zawsze wzwyż), mającym korzenie w starożytności.

Drugi (kolejność wyłącznie przypadkowa) gatunek zaś to ci, którzy uważają się za tych lepszych od innych i odczuwają z tego – uzurpowanego sobie – tytułu pewną satysfakcję (a może nawet przyjemność).

Tych pierwszych spotykamy najczęściej na wykładach czy innych akcjach z udziałem ludzi wybitnych.

Tych drugich natomiast – na manifestacjach poparcia dla podobnych do nich uzurpatorów do tytułu „lepszego sortu”, lub – po prostu – przed ekranem wyświetlającym taki lub inny film. Często jest to serial, dający im satysfakcję z racji odczuwanego przez nich poczucia wyższości („lepszości”) względem niektórych – albo i wielu – „bohaterów” tych „produkcji”.

To była – z mojej strony – refleksja ogólna. Ale jak to wygląda w praktyce?

Praktyka (i praktykowanie) ma swój wymiar historyczny i od tego zacznę. Drugim jej wymiarem zaś jest bieżące stosowanie założeń – zwanych też zasadami – oraz ich weryfikacja lub falsyfikacja pod kątem ich życiowej przydatności i/lub skuteczności.

Po to właśnie została usnuta religijność – być może od zawsze tak było, lecz w przypadku chrześcijaństwa z pewnością od czasu, kiedy cesarz Konstantyn (nie bez powodu zwany Wielkim) włączył tę judaistyczną sektę do swojej gry – żeby wzmacniać władzę w wymiarze ideowym, ale ze skutkiem politycznym.

I oto mamy największy – zarazem groźny – oksymoron w najnowszej historii pewnej instytucji, modelującej naszą cywilizację: „Święty Kościół grzesznych ludzi”.

Czyli że możemy oczekiwać nowych świętych. Trzeba ich tylko poszukać. Zaczniemy więc od zakładów karnych. Tam każdy niemal uważa się za świętego. Za co siedzi? Za niewinność...

Ale to się może zmienić. Na co? Na to, co już przerabialiśmy. Niejaki Wincenty Witos – trzykrotnie premier II Rzeczypospolitej – też nie zasłużył na poniewierkę w twierdzy brzeskiej. Ale się tam znalazł. □

Na kłopoty - Nobel

Sztuka literacka po raz kolejny rozjaśniła nam mrok, w którym zdawała się pogrążyć świadomość Polaków. Nastroje były coraz bardziej minorowe. Mieliśmy przeczucie, że grzęzniemy w jakimś bagnie bezsensu, wzajemnej nienawiści i pogardy. Czuliśmy, że cała Europa spogląda na nas z rosnącym zdumieniem, z niedowierzaniem.

Z niedowierzaniem, bo jak inaczej spoglądać na kogoś, kto znalazłszy się w rozumnej, postępowej wspólnotce, zamiast współpracować robi wszystko, aby z tej wspólnoty uciec. Zdumienie europejczyków budzi fakt, że przecież w referendum akcesyjnym przytłaczająca większość Polaków powiedziała Unii „tak”.

I oto przyszli do władzy „za demokratycznym przyzwoleniem wyborców” ludzie chorzy z nienawiści, o władnięci ideologią rodem z głębokiego średniowiecza. Jak to wszystko objąć rozumem? Popisy naszych władców na arenie międzynarodowej, kompromitacja za kompromitacją wspomagane naszą rodzimą, prowincjonalną ksenofobią, rasizmem – to wszystko sprawia, że nikt nas w Europie nie bierze na serio. Bajki władzy o „wstawaniu z kolan” należałoby uzupełnić o myśl, że przy tym wstawaniu dosyć mocno uderzyliśmy się w czaszkę.

I oto światelko w tunelu. Literacka nagroda Nobla dla Olgi Tokarczuk. Pisarka dysponująca wspaniałą narracją, mądrym spojrzeniem na nasze dzieje w Europie, dostrzegająca zalety i przywary bycia tu i teraz, dała nam nadzieję.

Powieści Olgi Tokarczuk podejmują trud wyjaśniania nam naszej własnej egzystencji. Są mozolnym odkrywaniem naszych nieoczywistości, kompleksów, pracowitym śledzeniem dróg, którymi chodzi



nasza świadomość. Z tekstów Pani Olgi dowiadujemy się, żeśmy niejednoznaczni, wewnętrznie niespójni, a zatem pełni tajemnic. Trudno nam pojąć samych siebie, trudno się wzajemnie polubić lub chociaż zrozumieć. Trudno o tolerancję, choć właśnie przy takiej poplątanej historii naszego narodu należałoby się jej spodziewać.

Mamy zatem kolejną, wspaniałą dawkę nadziei na triumf rozumu, na powrót do normalności. Kto uważnie wsłuchał się w wykład noblowski Pani Olgi, musiał zrozumieć jasno postawione przesłanie: **NIE POZWÓLMY, BY CIEMNOGRÓD ZWYCIEŻYŁ!**

Nie dziwi zatem zakłopotanie, a nawet wściekłość naszych obecnie panujących wodzów politycznych. Są bezsilni. Bezsilni, bo Europa oddała hołd mądrości, a nie najgłępszym wymysłom, utaplanym w rzekomo patriotycznym sosie.

Najlepszym z komentarzy do tej sytuacji niech będzie fakt, że profesor kierujący Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznał się, że nie dał rady przeczytać tekstu „Książ Jakubowych”.

Pani Oldze życzymy ciągłych, oszałamiających sukcesów twórczych. Panu Ministrowi zaś zdrowia, bo na inne sukcesy trudno liczyć.

P.A.

Refleksja.

W połowie lutego minie 40 lat od obrad VIII Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, który znacząco przyczynił się do wydarzeń gorącego lata 1980 roku. PZPR liczyła wówczas oficjalnie ponad 3 mln członków, a po odliczeniu tzw. martwych dusz – około 2 mln czynnych uczestników życia społecznego z tego ugrupowania. Przez wiele miesięcy odbywały się (bardzo często otwarte) zabrania partyjne, na których omawiano tezy przedzjazdowe i coraz bardziej napiętą sytuację w kraju. Trzeba pamiętać, że Podstawowe Organizacje Partyjne (POP) znajdowały się w prawie wszystkich jednostkach organizacyjnych, jak: zakłady pracy, urzędy, uczelnie, szkoły, wojsko, milicja itd. Przedzjazdowe dyskusje wyzwały wiele emocji i nadziei na konieczne zmiany. Bywały przypadki, że przyjęte

przez POP uchwały z postulatami zmian posłużyły potem zakładowym komórkom Solidarności do ich opracowań. Media na bieżąco pokazywały przedzjazdowe dyskusje, co jeszcze bardziej budziło nadzieję na konieczność zmian. Obrady Zjazdu (11-15.02.1980) były obszernie relacjonowane i komentowane. Pokazywano obrady zjazdowych komisji, gdzie często delegaci z zakładów pracy bez ogródek przedstawiali napiętą sytuację w kraju. Zainteresowanie Zjazdem było bardzo duże i budziło nadzieję na diametralne zmiany w kierownictwie partii i państwa; jednak ograniczyły się one jedynie do zmiany na stanowisku premiera, gdzie Piotra Jaroszewicza zastąpił Edward Babiuch. Napięcie społeczne nie zmalowało po Zjeździe i latem dało swój upust w postaci fali strajków, które zakończyły się podpisaniem



Piotr Jaroszewicz



Edward Babiuch

porozumień społecznych, a następnie powstaniem NSZZ Solidarności. Należy pamiętać, że około 10 milionowa Solidarność powstała w wyniku wielkiej fali społecznych protestów, której podległymi stały się nie zrealizowane zmiany

wiązane z VIII Zjazdem PZPR. Każdy młody historyk, który będzie badał fenomen powstania Solidarności, powinien sięgnąć do historii VIII Zjazdu, bo bez jego analizy jego obraz będzie obciążony dużą skazą.

Komentarze.

1) Jesienne wybory parlamentarne wprowadziły trochę zmian w Sejmie i Senacie. Obok PiS, PO i PSL do Sejmu weszły dwa nowe ugrupowania: Lewica i Konfederacja, a układ sił prawie się nie zmienił, gdyż PiS utrzymał samodzielną większość sejmową. Natomiast zjednoczona prawica zdobyła minimalną przewagę w Senacie. Przykładem zmian w sejmowych obradach było wystąpienie przedstawiciela Lewicy Adriana Zandberga, który w bardzo profesjonalny

sposób odniósł się do exposé premiera Morawieckiego. Komentatorzy sejmowi byli zgodni, że było to jedno z najlepszych wystąpień w ostatnim czasie.

2) Obrady nowego Sejmu otworzył Marszałek Senior, na funkcję tę prezydent Duda powołał Antoniego Macierewicza. W opozycji zawrzało, ponieważ uważa ona, że w minionym trzydziestoleciu działalność A. Macierewicza była destrukcyjna i antypaństwowa, uznawano

jedynie za pozytywną jego działalność w okresie PRL. Jest to przykład myślenia Kalego, ponieważ działalność A. Macierewicza zawsze była nacechowana frustracją, wrogością, tworzeniem konfliktów i dążeniem do zwarcia, bez względu na to, w jakim ustroju działała. Jednocześnie udając bezwzględne obrońcę tzw. prawdy potrafi bardzo dobrze dbać o swoje interesy, czego przykładem jest wieloletnie przewodniczenie Komisji Smoleńskiej, która do dziś nic konkretnego nie przedstawiła; drugi przykład to wyjazd za ocean w towarzystwie młodego asystenta na jedną z wielu konferencji – wszystko to na koszt podatnika; i to koszt niemały.

3) Jeszcze przed wyborami PiS sprawnie przeprowadził w Sejmie wybory nowego prezesa Najwyższej Izby Kontroli. Został nim Andrzej Banaś, były minister i wiceminister, sztandarowa postać PiS-u zwana pancernym. Opozycja zgłosiła zastrzeżenia co do wiarygodności nowego prezesa NIK, ale kierownictwo PiS i premier Morawiecki stali murem za nowym prezesem, twierdząc, że jest to człowiek o kryształowej uczciwości. Gdy TVN emitował reportaż o niejasnych źródłach majątku prezesa i jego mocno podejrzanych kontaktach ze światem przestępczym – w środowisku PiS nastąpiła zmiana stanowiska: zwrócono się do nowego prezesa o podanie się do dymisji. Apele okazały się nieskuteczne i prezes Banaś coraz lepiej czuje się w swoim fotelu. Wiele wskazuje na to, że gdyby nie wścibscy dziennikarze, to gwiazda PiS-u byłaby nadal kryształowa i nie byłoby sprawy.

4) Młodzi, zdolni, pryncypialni towarzysze europoła Jakiego zgłosili projekt ustawy dyscyplinującej sędziów i sądy. Opozycja i autorytety prawnicze nazwały ją ustawą kagańcową, wielce

szkodliwą dla zasady trójpodziału władzy. Wszystko wskazuje na to, że projekt został przygotowany w Ministerstwie Sprawiedliwości, więc powinien to być projekt rządowy poddany całej procedurze konsultacji; ale PiS jak zwykle poszedł na skróty i w pośpiechu, po nocnych obradach posłowie PiS przyjęli ustawę. Jest to kolejny przykład „dobrej zmiany”, gdzie liczy się tylko interes grupy rządzącej, a nie interes państwa.

5) Nastolatki na całym świecie nie odpuszczają i manifestują wzywając rządzących światem do szybkiego oraz zdecydowanego działania na rzecz ochrony środowiska i do zatrzymania postępującej degradacji przyrody. Apelują, aby podjąć działania nie w kategoriach zysku, lecz w kategoriach interesu społecznego. Oglądając ich wystąpienia można mieć nadzieję, że młode pokolenie dobrze rozumie problem i uratuje świat przed ekologiczną katastrofą.

6) Kościół katolicki ustami biskupa Jędraszewskiego ogłosił, że społeczeństwu zagraża nowy wróg – ekologizm. Biskup ocenił wystąpienia nastolatków w obronie środowiska jako ruch manipulowany, sterowany i groźny dla ładu społecznego. Ciekawe, jak biskup oceniłby te wystąpienia młodzieży, gdyby z tymi samymi hasłami pod jego przewodnictwem szła z pielgrzymką na Jasną Górę.

7) Po raz 28 zagrała Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy z Jurkiem Owsiakiem. Jest to fenomen na skalę światową. Gdzie wyzwalana jest wielka energia społeczna na rzecz pomocy bliźnim. Działalność Owsiaaka ma wielkie poparcie społeczne, a każda próba dyskredytacji WOŚP i Jurka Owsiaaka skutkuje większą sumą zebraną na konto Orkiestry.

S. Brodziński

z portali: gazeta.pl, dyskusja o grafice M. Damięckiej doradca02 – @franclajn:

bo prostak nie gustuje w prostocie; jest za bardzo skomplikowana (dla niego)

tedj – @topiramax

Wiara przegrała z nauką w chwili instalacji piorunochronu na wieży kościoła.

Z portali internetowych gazeta.pl:

(...) Sekielski wskazał jednak, że pół roku, które minęło od premiery dokumentu, to doskonały czas, aby zapytać polityków – zarówno rządzących, jak i z opozycji – co zrobili w tej sprawie. Bo deklaracje składali licznie. – Przypominam, że jeden z posłów PO zaraz po filmie wymachiwał malutkimi bucikami w Sejmie, mówiąc o tym, jak wiele Platforma zrobi i jak będzie walczyła o tych, którzy w dzieciństwie byli skrzywdzeni i wykorzystani seksualnie – mówił gość Agaty Kowalskiej.

Warto też przypomnieć, że powołanie specjalnego zespołu prokuratorów mających przeprowadzić analizę zdarzeń przedstawionych w filmie Sekielskich zapowiedziała w maju Prokuratura Krajowa kierowana przez Zbigniewa Ziobrę. W związku z tym dziennikarka TOK FM pytała swojego gościa, czy przez te pół roku został przesłuchany przez śledczych.

– Nikt z prokuratury się do mnie nie zgłosił – podał krótko Sekielski, informując, że w jednej ze spraw przesłuchany został jego brat – Marek, współautor dokumentu. Chodziło o sprawę księdza Olejniczaka, który mimo zakazu pracy z dziećmi prowadził

rekolekcje dla młodzieży – co zostało pokazane w filmie.



– Najbardziej rzuca mi się w oczy brak reakcji jeśli chodzi o tych, którzy nie dostrzegli problemu, mówię o zwierzchnikach konkretnych księży. W niektórych przypadkach dochodziło przecież do świadomego przenoszenia duchownych z parafii do parafii czy z diecezji do diecezji – powiedział gość Analiz TOK FM. – Oczekiwałem jednak, że prokuratura – po to, by sprawdzić, czy to przestępstwo nie dotyczy większej liczby dzieci (...), poprosi o dokumenty w kurii, przesłucha biskupów, zada ważne pytania – dodał.

Sekielski podkreślał, że “żyjemy w kraju, w którym wszyscy są równi wobec prawa, a budynek kurii nie jest ambasadą, do której nie można wejść”.



Prokuratura wszczyna postępowanie po filmie “Tylko nie mów nikomu”. Sekielski: Właśnie dostałem SMS od Ani.

Tomasz Sekielski mówił też o dalszych losach poszczególnych bohaterów filmu “Tylko nie mów nikomu”. Sprawa Anny Misiewicz (od której zaczyna się dokument) wciąż jest rozpatrywana przez prokuraturę w Kielcach. Sprawa Marka Mielewczyka zakończyła się prawomocnym wyrokiem

sądu nakazującym przeproszenie go przez parafię i diecezję oraz wypłatę 400 tysięcy złotych odszkodowania.

– W przypadku kustosza sanktuarium w Licheniu sprawa jest przedawniona, bo minęło zbyt wiele lat od tamtych zdarzeń – podał Sekielski. Zaznaczył też, że sprawa związana z księdzem Franciszkiem Cybulą prowadzona jest przez prokuraturę w Gdańsku. Przypomnijmy, nieżyjący już ksiądz Cybula był kapelanem byłego prezydenta Lecha Wałęsy – w filmie, w konfrontacji ze swoją ofiarą, przyznał się do molestowania seksualnego.

— Gdańska prokuratura prowadzi postępowanie wyjaśniające, bo okazuje się, że mimo obowiązującego prawa nakazującego zawiadomić prokuraturę, jeśli ktoś dowie się o możliwości zaistnienia przestępstwa wykorzystania seksualnego dzieci, to wyznaczeni przez arcybiskupa Głódzia księża, którzy przesłuchiwali ofiarę księdza Cybuli, nie zgłosili tej sprawy do prokuratury – poinformował na naszej antenie Sekielski.

W styczniu kolejny film Sekielskich.

Na koniec dziennikarz przypomniał, że przygotowuje kolejny film dotyczący pedofilii w Kościele. Dokument będzie miał tytuł “Zabawa w chowanego”, a jego premiera planowana jest na koniec stycznia przyszłego roku. – To będzie pokazanie czarno na białym, jak ukrywa się sprawców, ale też pokazanie styku państwa z Kościołem w kwestiach tego, jak kuria współpracuje z prokuraturą – zapowiedział.

komentarze:

kap_jeden . @sebastianmajewski

Dlatego Kościół poparł rozwalenie sądownictwa przez PiS, by ten czas nie przychodził. Kościół poprze każde draństwo by zostać u władzy; tak uczy historia współpracy z Mussolinim,

Franco i Pinochetem. Trochę ci dyktatorzy zabili ludzi, ale nadali /Kościółowi/ przywileje i majątki. Dokładnie to wyczytują biskupi z Ewangelii; nie wiem jak, ale im tak wychodzi...

gazeta.pl,

(red.: przykład żywotności...

kultury świeckiej)

Paulina Dudek, Polskie Babcie:

Młodzi ludzie są zszokowani, że w Polsce są też babcie nie moherowe.

Są powyżej sześćdziesiątki, a ich koleżanki nawet powyżej osiemdziesiątki, ale mówią o sobie per “dziewczyny”. Co czwartek pikietują w centrum Warszawy, walcząc o miłość, tolerancję, bezpieczne państwo i dobry klimat dla wnuków. W tym roku chciałyby zaprosić narodowców na ciasto i porozmawiać. Polskie Babcie to polski fenomen. (...)

– Ludzie lubią różne opcje polityczne i tak już jest. Każdej władzy trzeba patrzeć na ręce. Niestety dziś zapadają takie decyzje, że każdy jakoś cierpi – czy to przez smog, czy niewydolną służbę zdrowia. My to widzimy. A nasze dzieci myślą o kredytach, samochodach, bardzo konsumpcyjnym życiu. Możemy się na to złościć albo pomyśleć o wnukach i działać – przekonuje Iwonna. I dodaje:

– W życiu najważniejsze jest to, żeby być przyzwoitym. Chcę mieć możliwość spojrzeć sobie w twarz i powiedzieć: ty protestowałaś. I trudno, jeżeli nawet się nie udało, to nie masz sobie nic do zarzucenia.

Więcej: <http://weekend.gazeta.pl/weekend/1,152121,25496696,polskie-babcie-mlodzi-ludzie-sa-zszokowani-ze-w-polsce-sa.html>

Krzysztof Pacewicz

Izba świętoszków. Im mniej Polaków chodzi do kościoła, tym więcej posłów przysięga na Boga.



Dlaczego więc w tej epoce bezprecedensowej laicyzacji polski premier czy prezydent klękają przed biskupami, bujają się, trzymając za ręce, w rytm kościelnych pieśni? (Fot. Tytus Źmijewski/PAP)

W historii III RP żaden rząd nie był tak ostentacyjnie religijny jak rząd PiS. Czyżby katolicyzm miał się w Polsce wyśmienicie? Wręcz przeciwnie, jest stanie rozkładu, a odpowiada za to jeden fundamentalny czynnik.

Liczby nie pozostawiają wątpliwości – od 1989 roku religijność Polaków spada na łeb na szyję. W tym samym czasie jeszcze szybciej rośnie liczba posłów, którzy po przysiędze poselskiej dodają „Tak mi dopomóż Bóg” – w 1989 [na] początku było ich ledwie 15 proc., dziś jest to aż 79 proc., czyli prawie wszyscy. Dlaczego nasz naród, jeszcze niedawno tak bogobożny, porzuca wiarę? Dlaczego politycy idą w przeciwnym kierunku?

bra-tanki 14.12.2019

Oto sposób pisłamistów na chryścianizację Polski. Doprowadzić do katastrofy poprzez rozbicie więzi społecznych i zrujnowanie gospodarki i edukacji. Biedny i wystraszony Polak wróci w ramiona, albo pod sutannę Jędraszewskich i Rydzyków, a wiara w płaskoziemie wyniesiona z oblepionej krzyżami szkoły zakotwaczy go w tej ciemnocie.

To się nie udaje, ale wybierani do władzy osobnicy, cwani i kiepsko wykształceni, patrzą na suwerena przez własny pryzmat i myślą, że on bogobożny i tępy. Dlatego demonstracyjnie „tak mi dopomóż Bóg” dodają, a suweren myśli, że ten osieł widzi więcej i też mechanicznie na tacę daje. Ale to tylko gra pozorów, hipokryzja i... co ludzie powiedzą, bo gdy z tego rezerwatu wyjadą, to z ulgą oddychają powietrzem bez pm 2,5 z kadzideł i myślą: o boże, można tak?

Jak jakiegoś malarza tynkarza z Pcimia zrobią szefem Orlenu, albo innego czebola koryta, to co robi? Zawierza firmę jakiejś Marioli, bo sam jest bezradny. W razie czego powie, że zrobił wszystko, a Mariola rujnuje wartość takiej Energii trzykrotnie i weź ją ukarż. Wiara w czary i czarowników spada wraz ze wzrostem poziomu cywilizacyjnego społeczeństwa; a jedyne, co utrzymuje tę chytrawą organizację guseł i zabobonów to kasa wyciągana, a nawet wyludzana od wszystkich, bo sami tzw. wierni nie chcą się opodatkować. Wprowadzenie podatku od „wiernych” załatwiłoby tę organizację młodych i starych, ale jurnych i bezkarnych w kilka lat. Nawet dżesika i brajanek, a może oni pierwsi, by olali ten teatrzyk obłudy.

Mam w Paryżu ulubiony kościółek średniowieczny w Dzielnicy Łacińskiej. Małutki, poniżej poziomu chodnika.

W środku wieczorami śpiewają chóry. Pięknie. Słucham, niekiedy ze wzruszeniem. Śpiewają, a nie trują o wyborach, dżender i kasie na piątą dzwonnice. Słuchacze siedzą, a nie klęcząc wyją, udając opętanie, albo egzaltację religijną. Tak będzie i u nas; z wyjątkiem architektury kościelnej, bo tępe katabasy zaśmieszyły Polskę dziwaczynymi wytryskami swojego bezguścia. Wyrzutniami rakiet i bunkrami, a nie kościołami. Ale o tym to innym razem.

Institoris 14.12.2019

Między innymi dlatego bez wielkich emocji patrzę na rządy PiS. To czas przesilenia. Nie ma demokracji bez laicyzacji. Te następne pokolenia, które będą odchodzić od religii i kościoła katolickiego, raczej nie dadzą się namówić do głosowania na PiS. Gangsterskie rządy tej partii, wspierane przez zdemoralizowanych do cna biskupów, raczej ten proces laicyzacji tylko przyspieszą. Za parę lat będziemy dziękować Kaczce i Jędraszewskiemu, że ten proces tak zdecydowanie wsparli. Choć oczywiście niechętnie.

nabuchomozor 15.12.2019 – @Institoris

Kaczyński, Jędraszewski, no i ci wszyscy trzymający się za ręce, ze zdęcia, tak naprawdę nie wierzą w żadnego Boga; tym bardziej w tego potrójnego. To są dorośli, nieźle wykształceni ludzie (no, za wyjątkiem B. Kempy). Niech mnie ktoś przekona, że oni wierzą w bajkę o stworzeniu świata w 6 dni; o ulepieniu mężczyzny z gliny, a kobiety z żebra tegoż mężczyzny. Albo że starszy, brodaty pan siedzi w niebie i wszystko i wszystkich obserwuje i rejestruje każde wydarzenie. Że decyduje nawet o tym, kiedy i który plemnik połączy się z komórką jajową. Albo że Maryja i cała armia

(tysiące!) świętych mogą wpływać na los ludzi, tylko że przeważnie im się nie chce. Katolicyzm (i nie tylko) to ideologia z monumentalną wręcz ilością bzdur, głupot i sprzeczności. Nikt mnie nie przekona, że dorosła, wykształcona i zdrowa psychicznie osoba może to przyjmować na serio.

rudii 15.12.2019 – @joankb

W polskim KK rządzą faceci, ale skuteczność trwania wierzeń i obrzędów u młodych pokoleń zapewniają baby – niejednej udało się szantażem emocjonalnym sprawić, by jakieś dziecko, którego rodzice chrzczyć nie chcieli, zostało polane przez faceta w sukience wodą uznawaną za świętą.

misfire 14.12.2019

„Kryzys powołań jest tak głęboki, że w marcu kapłani z diecezji sosnowieckiej z biskupem na czele postanowili pościć w intencji wzrostu powołań.”

Szanowni kapłani, chociaż post to idea przednia, to może być dla Wszchemogącego za mało. Jak chcecie większych szans na sukces, oddajcie jeszcze biskupie pałace, ulgi podatkowe, ziemię, przestańcie wtrącać się do polityki, trzymajcie łapy z daleka od dzieci. I może wówczas Pan wasz spojrzy na kwestię powołań łaskawym okiem.



ŚWIATEŁKO DO NIEBA

To wyrażenie, a właściwie pełnoprawny związek znaczeniowy jest już z nami od prawie trzydziestu lat. Kto po raz pierwszy użył tych słów w przestrzeni publicznej? Może Jurek Owsiak? Może ktoś ze sztabu Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy? A może ktoś zupełnie inny? Kiedy to się stało? Nie pamiętam. Chyba nikt dokładnie nie starał się zapamiętać. To przecież nie istotne. Świąteczko do Nieba po prostu wrosło w zbiorową świadomość. Czekamy na nie podczas corocznego Wielkiego Finału. Zawsze przecież tak było, więc i teraz też. Co roku zmieniało się pod względem formy, technicznych środków użytych do jego „wysłania”. Zawsze stanowiło swoistą pamięć potwierdzającą wykonanie pierwszego etapu corocznej akcji WOŚP.

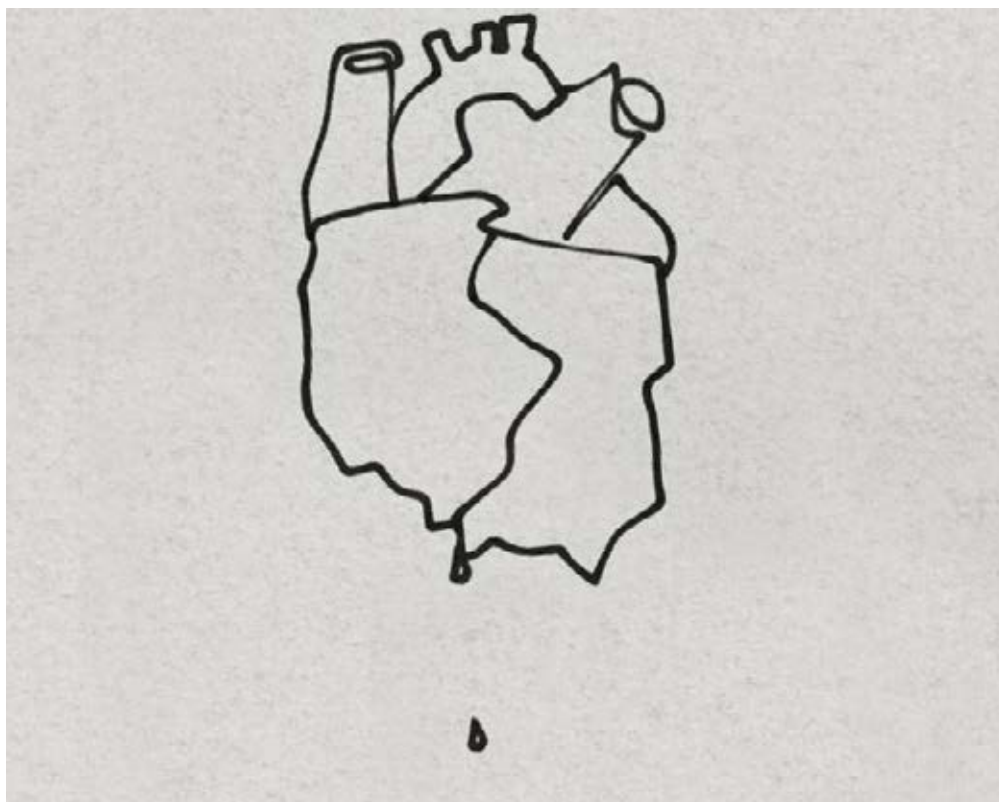
Rok po roku rośnie kwota środków zebranych przez Jurka Owsiaaka i jego pozytywnie oszalałe sztaby, przez równie mocno „zakreconych” wolontariuszy. Rok po roku powtarzamy to samo: „A co? Jednak można!”.

Wielka Orkiestra gra już niemal w każdym punkcie naszego globu. Nie wiem, jak to wygląda w okolicach biegunów, ale nie zdziwiłbym się, gdyby nagle poinformowano o tym, że niedźwiedzie polarne (na przekór globalnemu ociepleniu klimatu) także powołały sztab WOŚP. A co? Jednak można!

Tyle razy analizowano ten socjologiczny fenomen stworzony przez jękającego się buntownika (Panie Jerzy, proszę wybaczyć zbytnią śmiałość). Wszyscy pamiętają hasło „Róbta co chceta”, pamiętają rozrastający się Przystanek Wodostok. Trudno zapomnieć zgryźliwe,

prześmiewcze komentarze prawej strony naszej, pozał się Boże, sceny politycznej. A komentarze Kościoła? Cały huragan oburzenia wionął z kruchty, plebanii i zakrystii. No bo przecież kto to widział, aby lud boży rzucał swój wdowi grosz do podejrzanych tekturowych skarbonek, zamiast na wykwintną tacę, koszyczek, czy coś innego, ale kościelnego... Czysta obraza boska! I to jeszcze za przeważającą zgodą szkół, władz samorządowych, organizacji pozarządowych, wojska i innych służb mundurowych! A do tego ci nieroztropni rodzice, zamiast krzewić wartości chrześcijańskie, dzieciaka w domu zamkną w tę jedną niedzielę w roku, a gdy trzeba to i skarcić („rózyczką bowiem dziateczki Duch Święty bić każe”), pozwalają na kontakt z szaleńczo kolorowym Owsiakiem i jego szajką! Ty nie widzisz i nie grzmisz! Zacni hierarchowie resztki rozsądku utracili dowiedziawszy się, że w niektórych świątyniach nie tylko nie zabrania się prowadzenia kwesty, ale nawet małym wolontariuszom daje się po kubku gorącej herbaty i coś do zjedzenia. A gdy do publicznej wiadomości podano, że pewien proboszcz na Opolszczyźnie cały przychód z niedzielnej tacy przeznaczył na WOŚP... Znowu zaczęto przebąkiwać, że Nostradamus miał rację i właśnie się zaczęło...

A Świąteczko do Nieba jak rozbłyskiwało, tak rozbłyska i w tym roku. I pewnie tak do końca świata i jeden dzień dłużej. Tak można by zakończyć ten tekst, ale nie można. Nie można, bo Świąteczko rok temu przeszło przemianę. Straszna, tragiczna, bezsensowna.



W kulminacyjnym momencie uroczystości jakiś osobnik chory z nienawiści zadał śmiertelny cios Prezydentowi Gdańska Pawłowi Adamowiczowi. Na tę jedną straszliwą chwilę śmierć ujmuje w swą kościstą dłoń Światelko do Nieba. I to nie tylko w Gdańsku. Na całym świecie. Od tego momentu zrozumieliśmy, że ktoś nam to nasze światelko popsuł. Upodlił. Unurzał we krwi niewinnego człowieka. Już nic nie będzie takie, jak przedtem. Banał? Zapewne. Ale co powiedzieć?

Jak było teraz? Wszyscy pamiętali, wspominali Pana Pawła. Wielu dało się ponieść wzruszeniu. To zrozumiałe. Wielu zaczęło raz ciszej, raz głośniejsze zadawać pytanie: co ze sprawcą tej tragedii? Przecież od roku jest do dyspozycji organów ścigania, badany przez biegłych psychiatrów sądowych. Są nagrania słów

wykrzyczanych bezpośrednio po dokonaniu zamachu. Na scenie były przecież mikrofony. Przed scena stały tysiące świadków. I oni przecież mieli w dłoniach Światelko do Nieba. Pytania wciąż uzasadnione, wciąż z uporem zadawane, a odpowiedzi jak nie było, tak nie ma. Słyszymy tylko niezdarne tłumaczenia, że „czynności”, że „procedury” itd.

Jest jeszcze jedna sfera pytań. Pytań, których i tak nikt na serio nie postawił. Większość sądzi, że nie warto, bo to nic nie da. Chodzi mianowicie o pytania na temat zwielokrotnionej przyczyny, ukrytej w hejcie, bluzgach, bezprzykładnym niszczeniu nie tylko Prezydenta Gdańska, ale wszystkich tych, którzy Wielką Orkiestrę popierali i (mimo wszystko) coraz liczniej popierają.

Czy ktoś próbował rzetelnie dociec, skąd inspirowane jest to obrzydlistwo?

Owszem, póki w tle nie pojawił się uśmiech śmierci – można było rzec, że hejtem rozprzestrzesianym przez kretyków nie trzeba się przejmować. Okazało się jednak, że TRZEBA. Nikt mi nie wmówi, że przy dzisiejszym poziomie techniki nadzoru elektronicznego autor hejtu o szczególnym, jadowitym charakterze, może pozostać anonimowy, to przecież niemożliwe. Nie jest również szczególnym odkryciem związek publicznego hejtu ze wzrostem agresji, chęci zemsty (obojętne na kim i za co), czy wyrównania rachunków.

Mamy zatem taką sytuację: Rok temu publicznie, pod okiem kamer telewizyjnych, w obecności milionów świadków zabito człowieka. Sprawcę ujęto.

I co? I nic. Obecnie rządzącym jakoś nie śpieszy się z ostatecznym wyjaśnieniem sprawy. Gdyby Paweł Adamowicz był z „właściwego” obozu politycznego, sytuacja byłaby dawno wyjaśniona, a winni ukarani. Gdyby były trudności ze znalezieniem winnych – dobrałoby się z uczciwych, najchętniej z przeciwnego obozu politycznego.

Ten tekst nie jest swoistą formą hejtu, podżegania do konfliktu. Tak nie jest. Chodzi tylko o to, aby już nikt nigdy nie popsuł nam ŚWIATEŁKA do NIEBA.

A Jerzy Owsiak niech nie traci ducha, bo właśnie teraz wyraźnie widać, że to Światelko musi płonąć co roku do końca świata. I oczywiście o jeden dzień dłużej.

Piotr Augustynek



SANEJ DOLY?

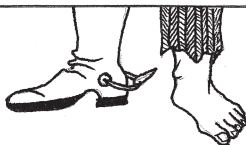
PRZEZORNOŚĆ

Sacha Guitry – dramaturg, reżyser, aktor i syn aktora – opowiadał któregoś wieczoru o swoich wakacjach:

- Spędziłem lato w małej miejscowości nad morzem i mieszkałem w skromnym pensjonacie, ale szybko stamtąd uciekłem.

- Dlaczego? – zapytał przyjaciel.

- Najpierw padł wół i przez sześć dni jedliśmy tylko samą wołowinę, potem zaczęły zdychać króliki i podawano nam do stołu tylko pieczeń z królików. Ale kiedy pewnego dnia dowiedziałem się, że zmarła teściowa właściciela pensjonatu, czmychnąłem stamtąd czym prędzej.







■ Kiedy bogowie chcą nas ukarać, spełniają nasze prośby.

Oskar Wilde

■ Uczciwość polega nie na wierze, lecz na wątpliwościach.

Jalu Kurek

■ Cnota – suma rzeczy, których nie robiliśmy z lenistwa, tchórzostwa lub głupoty.

Henry Miller

■ Kiedy ludzie stają się naprawdę źli, jedynym uczuciem, jakie im pozostaje, jest radość z cudzej krzywdy.

Johann Wolfgang Goethe

■ Cnotę i w nieprzyjacielu szanować trzeba.

Jan Kochanowski

■ I szatan może cytować Pismo.

Herbert George Wells

■ Zdolny tworzy, niezdolny poucza.

George Bernard Shaw

■ Są chwile, kiedy brak ludożerców daje się boleśnie odczuć!

Alfons Allais

■ Wszyscy chcą zmieniać świat, ale nikt nie chce zmienić siebie.

Lew Tołstoj

■ Godność często polega na odwadze zrozumienia własnej sytuacji.

Kazimierz Brandys

■ Ważniejsze kim się jest od tego, co się robi.

Witold Gombrowicz

■ W każdym fanatyku tkwi potencjalny morderca.

Mieczysław Jastrun

■ Kocham ludzkość, nie mogę tylko znieść ludzi.

Charles Schultz

Do druku wybrał: Piotr Augustynek



Projekt okładki: **Stefan Berdak**

Kompozycja stron: Artur Kozioł

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: Antoni Pietryka, zasoby internetu



STEFAN BERDAK, akril